

# Kamena

2552/1979/1

LUBLIN 71 1979 NR 1 (669)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## Z POWODU DWÓCH „CUDZOZIEMEK”

Maria Bechcyc-Rudnicka

str. 12

## BIERUT

Ireneusz J. Kamiński

**P**RZECHODZĄC do historii, Bolesław Bierut nie pozostawił Polakom jakiejś barwnej, dramatycznej legendy, a więc czegoś, co najmocniej działa na wyobraźnię, utrwała człowieka w pamięci potomnych. A przecież decydował o wielu sprawach ważnych dla kraju, pełnił wysokie funkcje polityczne i państwowe. W okresie międzywojennym wybitny działacz polskiego międzynarodowego ruchu robotniczego, w latach czterdziestych był przewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, sekretarzem gen. KC PPR, prezesem Rady Ministrów, sekretarzem generalnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, od 5 lutego 1947 roku — prezydentem RP. Tak wysokie funkcje mają jednak to do siebie, że zamazują indywidualny obraz człowieka, który je pełnił, zamiast żywego, autentycznego portretu jednostki, wprowadzają w zbiorową wyobraźnię oficjalny, stereotypowy kopierunek, wykadrowany w duchu epoki.

Tymczasem Bierut — działacz z piękną biografią, lecz bez legendy — znalazł w polskiej pamięci miejsce trwałe i szczególne, wcale nie urzędowe. Mówi się o nim po prostu, że był przyzwolonym człowiekiem. Tak twierdzą ludzie, którzy mu w pięćdziesiątych latach zawdzięczają

Dokończenie na str. 7



Wojewódzki obwodkowy  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

Lublin 1944 r.

Fot. M. Trachman (Archiwum)

## 35 LAT I JA

**R**OK 1979 rozpoczął się. Jest to rok szczególny — obchodzić w nim będziemy trzydziestą piątą rocznicę powstania Polski Ludowej, ojczyzny wszystkich Polaków. U każdego z nas mogą się rodzić różne refleksje związane z tą rocznicą. Jest okazja, aby spojrzeć na przebytą drogę — drogę kraju i drogę własną. Jest okazja, by zwrócić uwagę na jakiś szczególnie interesujący epizod z lat, które tak od-

mieniły zarówno losy Polski, jak i losy nasze własne.

Prosimy o szczerą wypowiedź. Będziemy je publikować na naszych łamach sukcesywnie w kolejnych numerach.

Zaczynamy (str. 8—10 bież. numeru) od nas samych — zespołu redakcyjnego „Kamena”. Czynimy tak dlatego, bo nie przedstawiliśmy się bliżej Czytelnikom w związku z 45-leciem założenia naszego pisma. A był to przecież w prasie polskiej jubileusz nie tak znów codzienny.

W pełni uszanowaliśmy zarówno poglądy, jak i styl poszczególnych autorów, a także samą koncepcję wypowiedzi.

Polskie drogi — tak różne nawet w małym zespole redakcyjnym! Jakże można je wzbogacić o Wasze doświadczenia, Drodzy Czytelnicy!

Liczmy na to i czekamy na listy.

Szczęśliwego Nowego Roku

1979

życzy „Kamena”



Rys. Konrad Kozłowski

Jan Górec-Rosiński

## WOŁANIE

Ocal od miłości która lez nie umie  
od przyjaźni ocal która barwy zmienia  
ocal od odwagi co drwi z burz i lęku  
od ślepej ufności od zbyt ufnej wiary  
od ołtarzy ocal których krew i ogień  
nie uczą śmierci i z martwych powstania  
od życia ocal w którym uśmiech umarł  
a sen nie rozkwita na wiosnę jabłonią.

## LIRYK

Obdarz mnie, Losie, małą cząstką nieba:  
miłością, która płacze, cierpieniem co myśli,  
nienawiścią która czerwien moich grzechów  
układa z gliny snów i zaprzeczenia.  
Obdarz mnie rozpaczą która piękno kocha  
i rylcem bólu rzeźbi doskonałość.  
Obdarz mnie, Losie, i tym, czego nie ma:  
o czym jeszcze śnimy, i co niepojęte.  
W lochu zdarzeń tragicznych, w chaosie wszechrzeczy  
aniołowie ciemności wskazują mi drogę.  
Obdarz mnie, Losie, spokojem, pokojem  
Zamykam oczy. Słyszę: krok za krokiem  
odchodzi Słowo w ciszę i milczenie.

# Piłka u nogi

Zamiast notatnika prezentujemy omówienie artykułu Janusza Atlasa pt. „Piłka u nogi”, który ukazał się w 52 n-rze „Polityki”. Wydaje się nam, że tekst ten zainteresuje i naszych Czytelników.

**M**AGISTER inżynier Jacek Gmoch — przypomniał Janusz Atlas — nie był obecny przy wysadzeniu Kazimierza Górskiego z fotela opiekuna piłkarzy. Był w tym czasie w Filadelfii (USA) na stypendium. Gmoch ofertę objęcia stanowiska po wybitnym trenerze otrzymał telefonicznie i nie miał żadnej możliwości prowadzenia prywatnej gry o interesujący go stołek. Telefonicznie także propozycję przyjął i czekał, co postanowi zarząd. Nie było i nie jest tajemnicą, że nie był jedynym kandydatem. Identyfikację treści ofertę otrzymał Andrzej Strelau, trener również powszechnie doceniany i popularny.

Faktem jest, że Gmoch na onczas niespecjalnie sympatyzował ze Strelaem, podobnie zresztą jak z Górskim. Po znakomitym finale poprzednich mistrzostw świata rozstał się z kadrą i ludźmi, z którymi współpracował, w stanie cichej wojny. Oddalił się dość znacznie i ze Stanów obserwował, co się dzieje z piłką w Kraju. Kiedy było zupełnie źle, otrzymał ofertę. Tydzień później poproszono go, żeby przyjechał do pracy.

Na powitanie zgotowano mu owację, jak gwiazdzie filmowej, wywiady, zdjęcia, telewizja. A po trzech tygodniach miał wygrać wyjazdowy mecz z Portugalią.

W Porto było tak znakomicie (2 bramki Grzegorza Laty), że wszyscy uwierzyli w magiczne talenty trenera. W prasie Gmoch przeczytał nawet, że w Argentynie powinien osiągnąć więcej niż Górski w RFN, bo trzeba się tam, gdzie wrzok nie sięga i zdobywać szczyty nie zdobyte. To powinien być pierwszy ostrzegawczy sygnał dla trenera, ale nie był. Gmoch dziś przyznaje, że powinien przewidzieć, iż wszystkim jego trenerskim dokonaniom towarzyszyć będzie otoczka sensacji.

Dalej Janusz Atlas przypomniał, że Gmoch zaprowadził nowe porządki. Głośno opowiadał, że futbol totalny jest jak wojna totalna, zatem trzeba się strzec przed wszystkim V kolumny. Bo jeśli wróg rozszyfruje nasze plany, przy pierwszej okazji zetrze nas na miazgę.

Sparringowy mecz z Rumunami na Łódzkiem stadionie chciał Gmoch przeprowadzić w pełnej konspiracji. Do tajemnicy dopuścił jednak dziennikarzy sportowych. Informacja prawie natychmiast ukazała się w całej prasie i skutek był taki, że w łożu honorowej zjawili się trener Portugalczyków, Pedroto. Gmoch zrobił dziennikarzom nie spotykaną w historii sportu awanturę, a z kolei dziennikarze uznali, że zachował się jak ostatni cham. Doszło do wzajemnego przeproszenia, ale nie na długo.

W ramach nowych porządków Gmoch postanowił wzywać piłkarzy, którzy mu odpowiadali, na jednodwudniowe konsultacje, tym samym przewracając do góry nogami cykl treningów drużyn ligowych. Kluby podniosły rąban, ale Zarząd PZPN uciszył je bez dyskusji, co świadek piłkarski zrozumiał jako nadanie Gmochowi statusu „świętej krowy”.

Potem był wygrany mecz z Cyprzem. Gmoch zaprosił do reprezentacji Lubańskiego, bardzo dobrze zagrani młodzi piłkarze (Boniek, Terlecki), do tej pory pomijani.

Po trudnym meczu w Kopenhadze z Duńczykami (2 bramki Włodzimierza Lubańskiego) satysfakcji nie było granic.

„Boniek nie pasował do drużyny. Właściwie wszystko go wyróżniało. Technika, sposób ustawiania się na boisku, predyspozycje intelektualne. To były jego atuty, ale równocześnie nazbyt widoczne były wady. Już w Argentynie graliśmy spotkanie kontrolne. Zbyszek nastrzelał wówczas jakimś Jabeuszom pół tuzina goli. Tyle tylko, że zupełnie zapominał, iż jest pomocnikiem i jego obowiązkiem jest wracać na własną połowę boiska, pomagać obrońcom i konstruować akcje zaczepne. Tak grać nie chciał — choć mógł — a ja w meczu z RFN nie mogłem sobie pozwolić na ryzyko.”

Z kolei Atlas wyraził pogląd, że niczym nie było uzasadnione wyrzucenie z drużyny Tomaszewskiego po puszczaniu goli, a właściwie pierwszego gola w spotkaniu z Argentyną. Kukła niczym nikomu nie mógł imponować, a bramki, jakie po przerwie zafundowali naszej drużynie Brazylijczycy, dowodzą, iż obrońcy zupełnie nie rozumieli się z bramkarzem. „Te „czarne” pięć minut to była prawdziwa kompromitacja polskiej piłki nożnej. I moim zdaniem u jej podłoża tkwiły błędy trenera. A pomyśl, żeby Gorgonia ustawić na środku ataku? A trzymanie Lubańskiego na ławce rezerwowych, a wiara w umiejętności Kasperczaka, który w każdym meczu grał co najwyżej kiepsko?.. Popelniając takie błędy nie można myśleć o mistrzostwie świata...”

„Byłem na miejscu — odpowiedział Gmoch — wszystkich piłkarzy znam doskonale i uważam, że o przegranych zdecydowałem „rozklejony” się kilku najświetniejszych, zasłużonych i utytułowanych p.karzy. Chociaż teraz na spokojnie nie mogę powiedzieć, że to oni błędzili, a nie ja. Złoczyliśmy razem. Zresztą nasze mecze na Mundialu analizuję po dzień dzisiejszy. Być może za rok potrafiłbym rozwiać wszystkie wątpliwości w kilku zdaniach. Co było moim błędem, co zbiorem błędów? Przed paroma tygodniami byłem w Belgii, u Włodki Lubańskiego. Na wiadomość o tym przyjechał natychmiast do Lokeren „Tomek”. Usiedliśmy jako trójka dawno i dobrze się znających przyjaciół. I długą rozmowę „Tomek” podsumował jednym zdaniem: „Byłeś dla nas za dobry”. Nigdy bym w to nie uwierzył, bo nie chciałem być dobry, tylko wymagać. Ale tak powiedział Tomaszewski”.

Atlas: „Prezes Ostaś powiedział na ostatniej konferencji prasowej, że w drużynie, na miejscu, w Argentynie, działo się nieciekawie, bo piłkarze głośno kwestionowali system premii. Czyli kłócili się o szmal?”

Gmoch: „To prawda. Mnie te sprawy nie interesowały. Kierownictwo ekipy trzymało kasę. Ja miałem ogromnie dużo roboty.”

Atlas: „Zgadzam się, tylko — tak na marginesie — zastanawiam się, co by było gdybyś chciał w tej sprawie zająć stanowisko?”

Gmoch: „Nie”.

Atlas: „Chyba rzeczywiście nie. W końcu wszyscy nasi piłkarze, z III-ligowcami włącznie, nieustannie wklócają się o forsy. Czy jeden człowiek, nawet jeśli jest to pyskaty Gmoch, może zmienić obyczaj zakorzeniony w całym polskim piłkarstwie?”

Atlas w zakończeniu swego interesującego choć chwilami kontrowersyjnego, tekstu zacytował jeszcze inne słowa Jacka Gmocha:

„...dotyka mnie zachowanie wielu ludzi po argentyńskim Mundialu. Myślę, że dość zabawny jest ten powszechnie znany dowcip o tym, że po Mundialu dostałem „Oskara” za szczelki, natomiast powtarzające się nagminnie ataki na moją osobę, w dodatku nie skierowane otwarcie, po nazwisku i konkretnie, ale w formie mało dowcipnych kalamburów to co najmniej nierozwoltowane. Ale rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Kiedy mówi się o Gmochu, to trzeba pamiętać o wygranych eliminacjach, o paru interesujących spotkaniach, i o moim wkładzie pracy w zwycięstwie olimpijskie w Monachium, w „cud na Wembley”, w sukcesy na poprzednich mistrzostwach świata. Bliżej nie zidentyfikowanego „mundrala” można traktować jak skończoną durnia.”

A ja się i tak z futbolem nie rozstane. I to wcale nie na złość moim wrogom. Zwyczajnie nie potrafię, nie mogę.”

Pierwszy mecz z RFN-em zremisowaliśmy. Atlas zapytał Gmocha, dlaczego ten nie wystawił „do premierowego składu Bonika”.

**O**KRES przelomu lat — święta, Sylwester, Nowy Rok — nie obfitują w imprezy sportowe. Emocje kibiców przenoszą się z imprez na ankiety. Redakcje pism sportowych, agencje prasowe, radio i telewizja organizują te ankiety i typują najlepszych sportowców świata, Europy, kraju, a nawet województw.

Wśród najlepszych na świecie powtarzają się takie nazwiska jak: Jaszczenko, rekordzista świata w skoku wzwyż i przedstawicielka tej smej konkurencji Włoszka Simeoni, która pierwsza wśród kobiet przekroczyła wysokość dwu metrów, mistrz Wimbledonu — Bjoern Borg oraz Monika Koch, która nie tylko wygrała bieg na 400 metrów na Mistrzostwach Europy, lecz tak że poprawiła należący przedtem do Szewińskiej rekord świata na tym dystansie.

W krajowych konkursach, a szczególnie w ankiecie „Przeglądu Sportowego”, bezsprzecznie największym faworytem jest rewelacja sezonu ubiegłej zimy — pierwszy Polak, który miał coś do powiedzenia w światowej czołówce biegów narciarskich, zdobywca tytułu mistrza świata — Józef Luszczek. A kto poza nimi? Na mistrzostwach lekkoatletycznych złoto zdobył tylko Malinowski, na bokserskich — tylko Srednicki. Nie powiodło się na mistrzostwach Europy Grażynie Rabsztyń, ale ustanowiła rekord świata w biegu na 100 m ppl., który stał się naszą koronną polską konkurencją. Ze zmiennym szczęściem startował Janusz Peciak; w najważniejszej imprezie roku zabrakło mu szczęścia w losowaniu konia i dobiego rusznikarza, który jednak powinien być rozliczony przez władze sportowe za złe przygotowanie pistoletu do strzelania. Pościg za czołówką w pływaniu i biegu doprowadził naszego mistrza do zajęcia drugiego miejsca i zdobycia tytułu wicemistrza świata. Za to należą mu się brawa i wysokie miejsce na liście najlepszych, ale rusznikarzowi należy się żółta kartka roku 1978.

Pamiętamy jeszcze wicemistrzostwo świata w kolarstwie Krzysztofa Sujki, ale kolarstwo zrobiło krok wstecz. Nie pomogły sztuczki z wycofywaniem zawodników z jednego zawodów, by przygotować ich do innych. Zabrakło zwycięstw, do których przywykliśmy w tej dyscyplinie sportu.

Nie można wśród najlepszych pominąć dyscypliny, która ma mniejsze uznanie wśród przeciętnych kibiców, w której Polska jest zawsze w czołówce — szybownictwa. Mniejsze uznanie wśród kibiców daje się wytłumaczyć tym, że konkurencje szybowników odbywają się nie tylko wysoko w przestworzach, ale i na dużych —setki kilometrów liczących powierzchniach.

Pozostali kandydaci do listy najlepszych są już od wielu lat dobrymi, ale nie najlepszymi i trudno wybierać, który jest lepszy, bo decydują tu nie tylko wyniki, ale i popularność uprawianej przez nich dyscypliny i jej miejsce w prasie, radio, a przede wszystkim telewizji.

Część kibiców typujących najlepszych sportowców i największe wycieczny sportowe brakuje wśród kandydatów na najlepszych Wandy Rutkiewicz i Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz. Ale gdyby znalazły się one na tej liście, między nimi dwoma, a trzecim trzeba byłoby zostawić ze dwa, trzy miejsca wolne. Zasługą ich bowiem jest dokonanie tego, co dotychczas nie było dokonane. Szczególnie p. Krystyna jako pierwsza na świecie kobieta, która samotnie opłynęła świat, jest bezsprzecznie przed wszystkimi sportowcami tradycyjnych dyscyplin. P. Wanda zaś pierwsza mieszkanica Europy i pierwszy nasz rodak na najwyższym szczycie świata może być przykładem odwagi i poświęcenia się ulubionemu sportowi.

Przy tym wycieczny Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz jest na pewno świetną zachętą do uprawiania tego wszechstronnie rozwijającego sportu, a przy tym uprawianego z dala od zaśmieconych i zadymionych miejsc. Spośród tych, których zachęci do uprawiania żeglarstwa jej przykład, mogą wyłonić się nie tylko żeglarze dalekich szlaków, lecz także uczestnicy regat olimpijskich w latach 1984 czy 1988 i to też wysuwa ją na pozycję najlepszej sportsmenki roku 1978.

Wacław Osajca

wszystko jest poezją  
to nic nią nie jest  
więc nic istnieje  
to jest poezja

## CZAS

mówią że niszczy zabija  
a może on  
wszystko unosi ocala  
ginie tylko to  
co z rąk wypadnie

## GRAMATYKA CZASU

kochasz

nie ma dzisiaj  
nie było wczoraj  
nie będzie jutro

miłość to infinitivus czasu

## UPRZEDZĘ JĄ

nie będę na nią czekał  
uciekał przed nią nie będę  
w żałki czasu  
wyjdę jej naprzeciw

nie przeminęła  
mądrość tego świata

kawałkiem marmuru  
oltarza z Agory  
Grek mnie przestrzega  
wierzyć wyłącznie  
niepoznawalnemu bogu

dla ciebie  
nasze grzechy  
mniej niż zapach pokrzyw

dla nas  
czasem trucizna  
czasem lekarstwo

przyszłaś nie w porę  
rzuciłaś na ziemię  
czerwoną różę  
kolce utkwili w stopach  
i przestałem tańczyć

## PÓŁNOC

nim kogut zapiał  
napisałem trzy wiersze  
i tym samym trzy razy  
zaparłem się poezji

raj zielony las  
i to ptasie  
ćwirrrrr ćwir  
śmiech to płacz  
jak czasem

mnie  
moja miłość  
jeszcze  
nie pokochała

**C**HOĆ lubelska kaszanka gryczana smakuje im lepiej niż sławetne krupnioki, a czartują zgrzyliwie powietrze, jakim się oddycha na Śląsku, człowiek może zobaczyć — jednak niektórzy odejść. Już odchodzą. Tam pracowali, chowali dzieci, zostawili żony, domeczki i ogródeczki. Dojrzały mężczyzna nie lubi na dłużej odrywać się od swoich korzeni. I trzeba zrozumieć ludzi. Aczkolwiek większość nie odejść. Z kilkuset tylko kilkudziesięciu wraca na Śląsk.

Decyzje te zostały przyspieszone poprzez uruchomienie (z dniem 1 stycznia) Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód” w Łęcznej, który przejmie od myśłowickiego Przedsiębiorstwa Robót Górniczych oraz kilku innych firm zadania, ludzi i sprzęt zaangażowane w budowę kopalni Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Co na to PRG w Myśłowicach oraz inne firmy, okrojone przecież o te zadania, ten sprzęt i tych ludzi?

Wytłumaczono mi, że nie ma sprawy. Wszystko zasadniczo dzieje się w ramach Zjednoczenia Budownictwa Górniczego Przemysłu Węglowego w Katowicach, któremu podlega zarówno PRG, jak i powstający w Łęcznej Kombinat, z dyrekcją Lubelskiego Zagłębia połączony zwykłym stosunkiem: inwestor — wykonawca, a nie jakimkolwiek zależnościami administracyjnymi.

Sama natomiast idea powołania Kombinatu wzięła się stąd, że trudno Zjednoczeniu sterować budową lubelskich kopalni z odległości 300 kilo-

metrów, potrzebny jest samowystarczalny potencjał wykonawczy w miejscu budowy.

Mgr inż. Włodzimierz Miąsowicz, który życzy sobie, abym napisał o powyższych układach służbowych, przybył do Lublina półtora roku temu na unikalne stanowisko dyrektora realizacji i kontroli budownictwa górniczego i przemysłowego w LZW. Potem został przewodniczącym zespołu roboczego do spraw utworzenia Kombinatu w Łęcznej, a na ostatku dyrektorem naczelnym Kombinatu.

Dyrektor przyjechał z Lublińskiego, gdzie budował Kombinat Górniczo-Hutniczy Miedzi — jak powiada — od trawnika. Teraz mieszka na Czechowie w wygodnym lokum z żoną i córką, która niebawem pójdzie na studia w Lublinie (syn studiuje w Warszawie).

— Społeczność Lubelszczyzny jest może bardziej zasiedlona i hermetyczna niż w większych ośrodkach przemysłowych, gdzie sporo z konieczności elementu napływowego czy przepływowego, więc człowiek z zewnątrz przyjmuje się łatwiej i szybciej — twierdzi. — Ale nie narzekam. Lubię zaczynać od początku, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, chyba zostanie tutaj już do emerytury.

Fakt, że gdy obecnie się chce ściągnąć dynamicznych ludzi na stałe, trzeba im coś oferować. Pełną zdolność produkcyjną i pełne zatrudnienie (około 11 tysięcy osób) powinien osiągnąć kombinat z końcem przyszłej pięcioletki, ale już dziś dyrektor Miąsowicz mówi o przygotowaniu terenów pod budownictwo jednorodzinne, o wyciągu narciarskim w Łęcznej, zagospodarowaniu pobliskich jezior... Dla stabilizacji załogi, która głównie wszak ma się składać z okolicznej ludności.

Mgr inż. Bolesław Wojciechowski, pracujący w dziale przygotowania produkcji Kombinatu, od roku mieszka w hotelu górniczym w Lublinie. Dzieci są już dorosłe i samodzielne. Przybył z Konina, gdzie pozostawił swój domek i żonę. Humor mu dopisuje, zamierza się osiedlić na stałe w Lublinie, gdzie obiecano ma mieszkanie.

— Ale zanim się państwo sprowadzicie do Lublina, jest pan sam, na kawalerce. Czy to nie męczy i co można robić po pracy w tej sytuacji? — pytam.

— Uważam, że samotny mężczyzna nie powinien się włączyć po dancingach. Niech pan o tym napisze, a ja to pokażę żonie — powiada.

Mówiąc serio: dopóki człowiek chce i potrafi zaczynać od nowa, dotąd nie jest stary. Na tej umiejętności polegałaby żyłka menadżerska. Tak myśląc, usiłuję jednak sprowokować skargę:

— A co będzie z domkiem?

— Nie wiem jak wyglądają zagadnienia prawne w takim układzie. Muszę dowiedzieć się i coś z tym fantem zrobić — mówi inż. Wojciechowski i zaczynamy rozmowę o przyszłych ogromach powstającego Kombinatu, którego zadaniem będzie, w pierwszym etapie, ale i na lata długie, budowa siedmiu kopalni LZW.

Trzeba zastrzec, iż chodzi o budowę samych kopalni i tego, co na ich terenie, więc na przykład już zakłady wzbogacania węgla nie wchodzi w rachubę. Żeby inne resorty nie pomyślały, iż są zwolnione od budowania tutaj, szczególnie resort budownictwa i materiałów budowlanych.

Kombinat ma posiadać sześć zakładów, właściwie dużych, jakby odrębnych przedsiębiorstw. Rzecz ena, oczywiście, opiera się na opracowaniach Głównego Biura Projektów i Studiów Budownictwa Górniczego w Katowicach, projektanta LZW.

Zakład budowy szybow, który powstaje na bazie PRG Myśłowice, oddziału robót w Bogdanie, będzie się zajmował głębinami i zbrojeniem szy-

bów, czyli kontynuacją dotychczasowych prac PRG oraz innych firm. Wygląda, że pod względem wartości przerobu największy to zakład Kombinatu.

Zakład robót górniczych rozpocznie działalność produkcyjną w połowie roku i skoncentruje się na budowie wyróbnisk korytarzowych i komorowych oraz chodników do momentu pierwszego wydobycia. Tutaj potrzeba kadry ze Śląska i zagłębia międzowego. Jeden z najważniejszych zakładów Kombinatu. Docelowo — około 3000 zatrudnionych oraz półtora miliarda złotych wartości rocznej przerobu.

Zakład montażu urządzeń górniczych i elektrycznych (na powierzchni i dole kopalni) oraz produkcji niektórych elementów konstrukcyjnych powstaje na bazie sprzętu i ekip katowickiego Przedsiębiorstwa Montażu Urządzeń Górniczych, zaangażowanego w Bogdanie. Współuczestniczy w budowie zaplecza własnych Kombinatu (tymczasowych i stałych).

Trzy wymienione zakłady zostaną zlokalizowane w Łęcznej. Zakład natomiast naprawczy (usługowy), a zarazem — docelowo — produkcyjny konstrukcji urządzeń i budynków, będzie działał w Zawadowie, niedaleko Łęcznej. Tu też produkcja elementów elektrycznych i części zamiennych do maszyn górniczych; czyli fabryczka.

Dwa pozostałe zakłady powstaną w Chełmie. Budowlano-remontowy, stawiający budynki na powierzchni kopalni i prowadzący roboty wokół dróg wewnętrznych, a także ubrojenie terenu, niwelacje,

prace instalacyjne w budynkach, zatrudni docelowo około 2000 pracowników. Tutaj liczy się na miejscową siłę roboczą i fachowców z Chełma oraz Lublina. I wreszcie zakład transportowy z trzema załadunkami w terenie, operujący, docelowo, około 700 jednostkami, służącymi przewozom towarowym dla Kombinatu i pracom budowlanym.

Zarząd, czyli dyrekcja Kombinatu, w Łęcznej. Siedziba zarządu przejściowo powstanie w składowym baraku, później się zbuduje biurowiec. Na razie siedziba mieści się w lokalach wyciągów schodowych na pięciu kondygnacjach wzdłuż klatki schodowej bloku mieszkalnego osiedla górniczego w Łęcznej, i jest traktowana jako tymczasowa, ludziom bowiem potrzeba mieszkań.

W pokoju inż. Wojciechowskiego panuje nastrój podniecenia, kiedy się tam zjawiam. Skonczyło się formułowanie planu rzeczowego Kombinatu na rok 1979: kontynuacja głębin trzech szybow w Bogdanie i zbrojenie gotowego szybu, wykonanie elementów podszybia. Przymierzają się do zadań na lata następne. Ulubionym słowem jest „docelowo”, czym i ja się zarazem. Miliony złotych swobodnie żeglują w powietrzu. W latach 1981—1985 Kombinat powinien osiągnąć zdolność przerobu rzędu 4 miliardów złotych rocznie. Nakłady na inwestycje własne szacuje się w granicach 6 miliardów złotych, 10 milionów złotych w tę czy drugą stronę jest nikłym procentem błędu w takiej sytuacji. Atmosfera wielkiej wolty gospodarczej.

W zespole do organizacji Kombinatu znajdowało się 43 osób i one w większości przeszły do dyrekcji, czyli zarządu. Każdy z zakładów będzie miał swego dyrektora, a ten swoich zastępców. Każdy z zakładów będzie miał własną administrację: kadry, księgowość...

Kiedy czekam na rozmowę z dyrektorem Miąsowiczem, ucinam sobie pogawędkę z panią obsługującą telefon w sekretariacie. Panią zastępuje sekretarkę, której chwilowo nie ma, i zwierza mi się, że pracuje dopiero od miesiąca — jako goniec. Została zatrudniona na tym stanowisku niezgodnie z kwalifikacjami jakby, ponieważ posiada maturę i dwuletnie studium ekonomiczne. Ale na razie nie było innej osoby dla niej, a musiała dziewczyna usamodzielić się w świecie. Mieszkała niedaleko Łosic w białkopodlaskim, doradzano jej, żeby poszukała pracy w Łęcznej, i tak tutaj trafiła. Zarabia 1700 miesięcznie, a 1200 płaci za pokój wynajmowany u rodziny górniczej w osiedlu. Czeki na lepszą szansę w Kombinacie.

Schemat organizacyjny Kombinatu jest już gotowy, aczkolwiek, oczywiście, jego realizacja praktyczna rozciągnie się w czasie. Wyrażam nadzieję, iż będzie się to wszystko odbywało zgodnie z zasadami, o których tak napisano w mądrych dźwiękach:

„Strukturę organizacyjną przedsiębiorstwa należy budować, poczynając od ustalenia składu podstawowych komórek produkcyjnych (gniazda, linie). Następnie, uwzględniając kryterium produkcyjne i terenowe, należy włączyć je w większe komórki (wydziały), dodając konieczne komórki obsługujące. Szczególną uwagę należy zwrócić na uproszczenie struktury organizacyjnej i utrzymanie możliwie małej ilości szczebli zarządzania między dyrektorem a robotnikami. Nadmierna ilość szczebli i duża liczba zastępców utrudnia i przedłuża przekazywanie informacji i decyzji, biurokratyzuje zarządzanie i znacznie podwyższa koszt aparatu administracji”. Na razie Kombinatu potrzebny po prostu czas dla takiego zorganizowania się.

**LOGOPEDA:** Ostatnio nie mam snów, chyba nie sobie nie przypominę. Ale wiem, że bardzo często śni mi się zieleni i czarna, szarość, różne odcielenie bezu. Takie kolory, które lubię. Często o czymś myślę przed snem i z reguły to mi się potem śni. Lubie te sny, w których pojawiają się moje najskrytsze marzenia. Nie zawsze je mam, ale często. Przeważnie śni mi się, że mam swój dom, kogoś bliskiego z kim mogłabym rozmawiać. Ten dom jest duży, obszerny. Niekiedy budzę się i pamiętam, że śnił mi się dom, a potem długo nie mogę zasnąć. To jest smutne. Wiem, że gdy śnił mi się mój ojciec, który umarł, gdy miałam siedem lat, to coś mi się nie uda. Teraz czekam, kiedy zobacze we śnie swój dom pełen dzieci. Bo chciałabym mieć dużo dzieci.

**PANI DOKTOR:** Najtrudniejsi są rodzice. Gdyby oni byli tacy, jak powinni, połowa dzieci, które są u nas, nigdy by tu nie trafiła. To rodzice są trudni, egoistyczni, nie chcą zmieniać swoich postaw, nie potrafią rezygnować z własnych przekonań, nie chcą przeciekać. A jeśli nie zmienimy rodziców, to nie pomożemy dziecku.

Najtrudniej jest pracować z rodzicami, którzy nie mają czasu dla swoich dzieci. No tak — albo nie mają czasu, albo są zajęci, zapracowani. Wielu z nich ciężko pracuje, niekiedy na różne zmiany. Poza tym — jakże często rodzice nie rozumieją potrzeby znalezienia czasu na kontakty z dzieckiem. I o to by chodziło przede wszystkim — o czas dla własnego dziecka.

Tu znajduje się źródło zaniedbań. Gdyby w porę zaczynało się w rodzinie pomagać dziecku, poprawiać je, korygować jego zachowanie, kontrolować trudności...

Od kłopotów z nauką zaczyna się wiele zła. A czasem niestety trzeba, żeby dziecku zaczęło iść dobrze. Trzeba nie-raz drobnej pomocy. Tylko na tyle, by nie powstawały konflikty pomiędzy rodzicami i dziećmi. One nie mają jeszcze odpowiedniej perspektywy, nie widzą szeroko sytuacji. Jak to dzieci przecież.

**EWA (17 lat, schizofrenia):** Śniło mi się, że jacyś chłopcy przyszli do nas. Siostra była sama w domu. Ja się bałam i powiedziała siostrze tak, żeby wygnała tych chłopaków, bo ja się boję. Gas mruczysz i mruczysz, spij do cholery bo się spać chce. No, ja sobie głowę umyłam i taki kudłaty pies był. I siostra ze swoją siostrą i siostra mówi: tak! gdzie jest ten kudłaty? A ona mówi: ja się boję. O, tu na łóżku! Ja się boję. A mama zaczęła szczekać i szczekała i mówi do cholery jasnej, kto się będzie tak głośno darł! I szczekała i szczekała. I hau i hau! Ja się bałam. Baśka, weź tego kudłatego psa, bo ja się boję naprawdę...

(śpiewa: Koło mego ogródeczka  
Koło mego ogródeczka  
Tra ra ra  
Rozkwitła mi jabłoneczka  
Tra ra ra  
Rozkwitła mi jabłoneczka)

Bieluśko mi zakwitła  
Tra la la  
Czerwone jabłuszka miała  
Tra la la  
Czerwone jabłuszka miała)

**PANI DOKTOR:** Psychiatria nie jest matematyką. Nie ma w niej żelaznych reguł. Ale to też nie filozofia i nie poezja. To konkretna gałąź medycyny nauk przyrodniczych, i nie będzie paradoksem, gdy powiem, że — ścisła. Wymaga sporu psychologii, oprócz medycyny a także podejścia socjologicznego. Ale tu nie wszystko daje się wyliczać. Nie ma np. reguł, że w złych warunkach w niekorzystnym układzie rodzinnym zawsze wyrośnie człowiek niepełnowartościowy. Ale czasem największe nawet starania rodziców nie zawsze dają proporcjonalne efekty.

Trudno powiedzieć, jak dziecko patrzy na nas. Ono zawsze potrzebuje sympatii, akceptacji, miłości, trochę uwagi, trochę czasu. Zrozumienia jego potrzeb, np. twórczości dziecięcej. Nie wolno zapominać, że ono naśladuje model rodziców. Dziecko nie wymaga więcej, niż mają dlań normalni rodzice. Lecz najczęściej tych prostych spraw brakuje.

Przeważnie nasze dzieci, te, którymi się zajmujemy, pochodzą z takich rodzin, w których rodzice żyją w konfliktach, lub zbyt nie zaangażowani w własnymi sprawami. To wcale nie oznacza, że nie mogą to być ludzie ze środowisk stojących wysoko w drabinie społecznej np. naukowej, itp.

**JUREK (17 lat, psychoza):** Co mi się śniło? Ze jechałem do młyna. Po co? No, żeby zboże zemiać. No i to wszystko. Taki dół okropny był pod tym mly-

nem. To ostatni raz mi się śniło, jak wyjechałem z domu i więcej nie pamiętam. Wjechałem. Najpierw wozem jechałem. Wóz się zatrzymał i ja wpadłem do tego łolu. Z tatusiem. Nie wyśledłem. Śniło mi się jeszcze, ale wylatuje wszystkie. Krótki był sen, gdzieś z pół godziny. Dziwny sen był jakiś.

**LOGOPEDA:** Przychodzę o ósmej rano, akurat gdy pielęgniarce je ubierają. Dzieci starsze pomagają w salach młodszym. O ósmej trzydzieści jest śniadanie. Gdy dzieci zjedzą, idą się umyć, bo często się brudzą przy śniadaniu. O godzinie dziewiątej rozpoczynam ćwiczenia logopedyczno-redukcyjne. Zajęcia trwają dwadzieścia minut do pół godziny z dwoma lub jednym dzieckiem. To są ćwiczenia z zakresu artykulacji, ćwiczenia lekcyjne, manualne, ogólnorozwojowe. Jest kilkoro dzieci, które ćwiczą bardzo chętnie. Prowadzę np. ćwiczenia języka: dmuchanie parkanie, obliźywanie, bo niektóre dzieci z afazją motoryczną mają zaburzenia sprawnościowe narządów mowy. Krzyścio na przykład porozumiewa się gestami. Ma dobrze rozbudowany słownik

daje — rodzin przyjmuje zasadę, że dom najbardziej powinien wychowywać. Przecież dziecko to „wizytówka” rodziny. Brakuje w pewnych rodzinach kultury poszanowania zabawek, szacunku dla ksiątek, których nie można niszczyć. Ale czy to nie jest przejawem, żeśmy się nie nauczyli korzystać z techniki, którą tworzymy?

To nie znaczy, że mogą tylko narzekać. Nie. Nasze dzieci nie są złe. Nie wiele się różnią od innych. Uczą się tak samo jak dzieci w normalnej szkole. Widział pan te zabawki w gablotach? Zrobiły je nasze dzieci.

**ELA (9 lat, nerwica):** Śniło mi się o misiu Kolargolu, jak on wyjechał i zgubił się w kosmosie. Później piesek szukał i znalazł tego misia Kolargola. I wszyscy się cieszyli. I powrócili do domu. A potem misio Kolargol poszedł z dziewczynką na kwiatki i ona się zgubiła i później ją szukali i znaleźli i wszystko było dobrze.

**LOGOPEDA:** Bawię się z dziećmi pociągami na przykład, bo to ćwiczy zdolności manualne, i przy tym pytam:

## Niekiedy budzę się i pamiętam...

Bronisław Kowalski



Rys. E. Inglot

bierny. Potrafi pokazać stół, gdy się powie „stół”, ale sam nie umie powiedzieć.

**EWA (14 lat, nerwica):** Miałam sen, że tata przyszedł pijany do domu i Józek przyszedł pijany do domu i Józek do taty: ty sk... rwy... ynie, czegoś mi piwnice nie dol! Tak do niego mówi. A tata: odyjź ode mnie, co chcysz ode mnie. A Józek do bicia się stawiał i... i powiedział tak że... ta chałupa jest jego, że on rządzi w tej chałupie a nie tata. A w tamtym szpitalu śniło mi się: zebym zbilam termometr i zbilam ten termometr. Chciałam rteć polknąć, tylko mi nie dali. Zabruli mi i nie dali mi tej rteci polknąć. Później chciałam się otruc tylko nie miałam czym. Nie miałam czym się otruc. Tył.

**PANI DOKTOR:** Praca z rodzicami to jeden z elementów naszej pracy. Rozmawiamy, próbujemy coś zmienić. Nie wszyscy przyjmują nasze propozycje, nie wszyscy chcą, często nie potrafią, lub nie są w stanie zmienić sytuacji w której żyją. Ale nasza praca nie idzie w próżnię. Coś z tego zawsze zostaje.

**EWA II (14 lat, nerwica):** Śniło mi się, że wróciłam do domu. Ojciec nie bardzo się ucieszył z tego. Mamusia się ucieszyła. W ogóle brat mnie zabrał stad Na święta. A potem znów ojciec chciał oddać. Albo tutaj albo do domu dziecka. A w ogóle nie chce iść do domu. Nie chciałam, płakałam, żeby mnie nie brał. Śnił mi się cały czas, że brat przyjeżdża. Brat się śni. Byliśmy na grzybach, ojciec z wujem i zgubilśmy się. Później to jakieś takie... zasłaliśmy do pana Tyburka, takiego na górach. I zesłaliśmy. Później oni nas szukali.

**PANI DOKTOR:** Najważniejsze w rodzinie dla dziecka to klimat uczuciowy. Przychodziła do nas matka dziewczynki, samotna kobieta, która całe życie starała się pracować tylko dla córki, jak najwięcej zarobić, jak najwięcej jej kupić, dawała jej mnóstwo pieniędzy. Pamiętam, że ta kobieta opowiadała: Ja nie wiem, jak do niej podejść, jak z nią żyć, nie wiem, jak zrobić, by coś się zmieniło, nie wiem, nie wiem...

Mam wrażenie, iż dominuje wśród wielu ludzi model człowieka „dorobionego”. To znaczy kogoś, kto ma wszystko, kto zbyt wiele wagi przywiązuje do zdobycia nowej lodówki, nowych ciuchów. Zbyt małe znaczenie przywiązuje się do faktu, że to rodzice kształtują dziecko i przygotowują do życia, które będzie od niego wymagało nie tylko zdobywania rzeczy.

Rozpowszechnia się przekonanie, że odpowiedzialność za dziecko spada na szkołę, bo tam się ono uczy, kształci, wychowuje. Niewiele — jak mi się wy-

da — rodzin przyjmuje zasadę, że dom najbardziej powinien wychowywać. Przecież dziecko to „wizytówka” rodziny. Brakuje w pewnych rodzinach kultury poszanowania zabawek, szacunku dla ksiątek, których nie można niszczyć. Ale czy to nie jest przejawem, żeśmy się nie nauczyli korzystać z techniki, którą tworzymy?

To nie znaczy, że mogą tylko narzekać. Nie. Nasze dzieci nie są złe. Nie wiele się różnią od innych. Uczą się tak samo jak dzieci w normalnej szkole. Widział pan te zabawki w gablotach? Zrobiły je nasze dzieci.

**ELA (9 lat, nerwica):** Śniło mi się o misiu Kolargolu, jak on wyjechał i zgubił się w kosmosie. Później piesek szukał i znalazł tego misia Kolargola. I wszyscy się cieszyli. I powrócili do domu. A potem misio Kolargol poszedł z dziewczynką na kwiatki i ona się zgubiła i później ją szukali i znaleźli i wszystko było dobrze.

dziństwem. Istnieje więc subtelność, uczuć tam, gdzie z pozoru brak na to warunków. Niekiedy rodzice, którzy bardzo się starają, nie mogą sobie poradzili z dzieckiem. A są dzieci z rodzin zaniedbanych, lecz subtelne uczuciowo, więc, tak jak mówiłam, nie ma reguł.

Najbardziej beznadziejnym przypadkiem dla dziecka jest brak rodziny. Po prostu nie mamy na czym budować. Pojawia się wrażenie braku miejsca na ziemi. W domach dziecka często nie otrzymają one wymaganej bliskości, czułości, opieki, tego często kadra nie może zapewnić. Najtrudniej leczyć reakcje dzieci sierocych.

Poza tym beznadziejne są sprawy rodzin alkoholicznych. Nie możemy wierzyć, zaufać takim rodzicom, bo wszystkie obietnice współpracy z nami pomocy dziecku, to są próżne deklaracje. Potem wszystko się wali i dziecko nadal nie ma prawidłowych warunków rozwoju. Tu także — e mamy na czym budować, nawet jeśli tacy rodzice zgadzają się w rozmowach z nami na wszystko. To są często zdegenerowani ludzie i niekiedy nieodwracalnie.

**REEDUKATOR:** Pamiętam, jak kiedyś Andrzejek pierwszy raz powiedział „miś”. Poszedł do jednego z logopedów i powiedział mu: „miś”. To był raban na cały oddział. Ten człowiek go wziął na ręce, obcałował zaniósł na korytarz i prosił przy wszystkich: Andrzejku powiedz jeszcze raz, jeszcze raz powiedz. I Andrzejek powiedział: „miśś”, „miśś”. Było mnóstwo radości. A potem małe dziecko chodził wszystkich zaczepiał i mówił: „miśś”.

**BOGUSIA: (22 lata, anoreksja nerwowa — jadłowstręt):** Mój sen pamiętam dokładnie wówczas, kiedy... Mój sen pamiętam bardzo dokładnie. Śnił mi się dom. Byłam w domu. Spacerowałam z rodzicami. Rozmawiałam z nimi. Śnił mi się tato. Był piękny sen. Niestety. Kiedy się obudziłam, zauważyłam, że jest szpital. Pomyślałam sobie: dlaczego jestem w szpitalu? Uprzytomniłam sobie wówczas, że odwozła mnie tutaj mama, dlatego, że byłam bardzo szczupła. Płakałam się bardzo, bo wiedziałam, że do końca mego pobytu jeszcze jest bardzo dużo. Ciągle każdej prawie nocy śnił mi się dom, że jestem w domu, że przebywam z rodzicami. Śnił mi się własny pokój, moje własne sprawy, moje własne obowiązki. Dlatego, że tęsknię bardzo, że nie widziałam rodziców aż od siedemnastego października i zobaczę ich dopiero, gdy zostaną wypisani. I dlatego, że tak strasznie tęsknię za nimi, dlatego każdej nocy prawie śnił mi się dom.

**PANI DOKTOR:** Człowiek powinien być bardziej przygotowany do tej pracy, która wykonuje na co dzień — do pracy wychowawcy. Bardzo niewiele ludzi traktuje serio ten drugi zawód. Często rodzice są wychowawcami dorywczo, „na wycucie”, nie przejawiają pasji w tym kierunku. Owszem, zdarza się nie tak rzadko, że dziecko samo się wychowa, ale z wąskiego światła naszego szpitala wydawać się może, iż mało jest rodziców świadomie kształtujących swe dzieci. Lecz mówię: może być, iż mamy krzywy, za wąski obraz rzeczywistości.

**ZBYSZEK: (7 lat, nieznaczne opóźnienie rozwoju umysłowego):** O Mikołaju. O mamie. Mikołaj przyniósł paczkę. Mama paczkę ma. Już nie. Dał mamie. Mama mi przyniosła. W paczce była czekolada, batonik.

**LOGOPEDA:** Gdy zaczynają się ćwiczenia, pod drzwiami gabinetu jest przepychanka. Dzieci wołają: ja pójdę, ja pójdę. Bo one chcą, żeby się ktoś nimi zajmował.

**WŁODZIO: (6 lat, nieznaczne opóźnienie rozwoju umysłowego):** W domu byłam. Tatuś przyszedł pijany. I milicja przyjechała. Tatuś z nimi poszedł.

— A to ci się śniło, czy było naprawdę?

— Naprawdę.

**PANI DOKTOR:** Wie pan, to było marzenie dyrektora naszego szpitala, dr Wiesława Brennenstuhla, by powstał tu dział opieki nad dziećmi i młodzieżą. A człowiek, który ma odznakę „Przyjaciel Dziecka”, tak łatwo z podobnych marzeń nie rezygnuje.

**REEDUKATOR:** Człowiek często opowiada sny dodając coś z rzeczywistości. Dzisiejszego snu absolutnie nie potrafilabym opowiedzieć. Śnił mi się rzeczy bardzo naturalne. Często na przykład z okresu dzieciństwa. Może to objaw przebywania z dziećmi. Pamiętam, że śniło mi się, iż jestem nad rzeczką w Poroninie. Zbierałam zielone kamyki i malowałam nimi inne małe kamyki. Rysowałam na nich jakieś stworzki bajkowe. I rodzice mnie chwaliли. Byłam szczęśliwa, bo nigdy nie miałam talentu do malowania. Może to jakieś senne dowartościowanie? Ten sen miałam nie tak dawno, taki był luźnutki, ładnutki.

# LUBELSKIE NAGRODY IM. CZECHOWICZA I IM. PRUSA

**R**OZE za wcześnie, może należałoby zacząć do roku osiemdziesiątego, gdy literackie nagrody naszego regionu zamkną dekadę ich przyznawania? A może trzeba było każdego roku zwracać uwagę na książki nagrodzone, porównać je na tle wszystkiego, co ukazało się w regionie i o Lubelszczyźnie w ogóle, albo warto było to znacznie rozszerzyć? Spójrzeć na pozycje wysunięte przez doroczne jury nagród im. Józefa Czechowicza i Bolesława Prusa przez pryzmat dokonań ogólnopolskich, by lepiej wymierzyć proporcje pozytywów i negatywów rozwoju środowiska literackiego Lubelszczyzny? Tego trudu podejmie się zapewne wiosenna sesja przygotowawcza przez Zakład Filologii Polskiej UMCS, Wojewódzką Bibliotekę Publiczną i lubelski Oddział Związku Literatów Polskich, ponieważ obejmie ona całe powojenne trzydziesto- i czterdziestolecie w twórczości środowiska pisarzy Niemniej już dziś warto stwierdzić, bo są po temu podstawy, że werdykty — począwszy od 1971 roku, gdy nagrody ustanowiono — były w zasadzie słuszne. Nikt z poetów i prozaików, którzy otrzymali wawrzyny, nie zaprzestał twórczości (oczywiście, poza zmarłymi: Kazimierzem A. Jaworskim i Zbigniewem Stepiem), przeciwnie, wszyscy znacznie ją rozwinięli i wzbogacili jakościowo. Nagrodzone i nowe książki laureatów funkcjonują nadal, pozostają w świadomości czytelników. Większość spośród nich zmierzyła się w różnych konkursach ogólnopolskich, czym potwierdziła, że ich nagrodzenie wybiegało poza kryteria regionalne. W sumie więc można już dzisiaj powiedzieć, że ranga obu nagród literackich Lubelszczyzny jest stosunkowo wysoka. Nie ze względów fiskalnych, bo one o tym nigdy nie decydują, a gdy kwoty są małe tym bardziej, ale ze względu na jakość książek, dalszy rozwój sztuki pisarskiej laureatów, a także i z tej przyczyny, że co roku przybywa tylko o dwa, maksimum pięć nazwisk.

Również i tegoroczni laureaci jawią się w tych kryteriach korzystnie. Wygrwali konkursy literackie, nie są debiutantami. We współzawodnictwie o laur Czechowicza Prusa ich książki znajdowały się wśród dwudziestu ośmiu innych. Czy wśród nich nie było również dobrych? Były. Bywają werdykty kompromisowe, są jednorodność, bądź wspólne, kierujące się jednak za adą, iż nowe nazwiska z dobrymi tytułami są lepsze niż również dobre książki laureatów sprzed dwóch, trzech, nawet czterech lat, które znowu mogłyby ozdobić powiększającą się zastęp zwycięzców. Czyż nie byłoby przyjemnie znowu wymienić nowe interesujące tomy Marii Józefackiej, Bohdana Zadury i Janusza Olezaka? Przecież ich najnowsze tytuły zostały dobrze przyjęte przez czytelników i krytykę. Tak, ale ten problem mają członkowie jury obu konkursów niemal każdego roku.

W dziedzinie poezji zostały nagrodzone dwa zupełnie różne tomy wierszy. Dobrze się stało, że właśnie „Podwórko” Matyldy Welny oraz „Moje wesołe miasteczko” Mariana Janusza Kawalki otrzymały laur Józefa Czechowicza. Są to dwie różne, choć równoprawne poetyki, ale także i odmienne widzenia rzeczywistości. U M. Welny element tytułowy jest wszechobecny, posiada niejako moc wiążącą, zespalałą konstrukcję tomu i jest jego ideową wykładnią. Autorka dotąd znała była przede wszystkim jako prozaiczka. W ostatnich dwu latach nie tylko na naszych łamach, ale i w czasopiśmie literackich, z „Twórczością”

i „Poezją” włącznie, spotykamy jej wiersze. Zapewne oba te gatunki będą już teraz instrumentem równoległego wyrażania siebie i współczesnego świata. W jej poezjach dominuje wiersz. Jest ona obecna — mimo tytułu — także u Kawalki. Są to jednak różne spojrzenia na miejsce swojej małej ojczyzny, wioski, z której się wyszło i najbliższej jej okolicy. Matylda Welna widzi sprawy chłopskie, wiejskie właśnie: rolniczy trud, radości, troski i przyrodę od wewnątrz, od samego środka. I jest to wartościowe. Nie można jednak niczego ująć także autorowi „Mojego wesołego miasteczka”. To prawda, poeta mówi o nich już z pozycji uchodźcy, człowieka, który wprawdzie nie ma w sobie zbyt męczącego uczucia zdrady pozostawionej sielskości, jednak w przeciw-

13 grudnia w Muzeum im. Czechowicza zostały wręczone doroczne nagrody literackie im. J. Czechowicza i Bolesława Prusa, przyznane przez jury w składzie: Waldemar Michalski, Zofia Wójcikowska i Jerzy Święch, pod przewodnictwem Tadeusza Jasińskiego, który właśnie przedstawia książki roku 1971 nagrodzone przez ten zespół.

## LAUREACI

stawieniu próbuje przedstawić wartości, jakie prezentuje jego miejskie życie, chociaż nadaj za *rogatkami moich wierszy / pasą się niespokojne konie...* Ten sam pogłos wsi, podobne odwołania słyszemy w poezjach Henryków — Kozaka i Markarskiego U Mariana Kawalki wiersz jest ważkim odwołaniem, przede wszystkim moralnym. Jest w jego utworach podkreślenie swojego pochodzenia, czuje się źródło zasad, które poetę ukształtowało — w czym są sobie z M. Welną podobni — odczuwa się korzenie, które stały się siłą jego twórczości. Recenzenci sporo już napisali o poetykach obojga laureatów im. Józefa Czechowicza, co zważając mnie od akazywania różnic i innego funkcjonowania ich poezji.

Od poezji nie możemy być zupełnie wolni także, gdy omówimy książki laureatów nagrody im. Bolesława Prusa. Cała trójka przecież uprawia ten rodzaj twórczości równocześnie, bo, ma poza sobą tomiki wierszy. Najbardziej oddzielił poezjowanie od swojej prozy potrafił Zbigniew Strzałkowski, jego opowiadania nie grzeszą wprawdzie nadmierną surowością i zwięzłością, jednak ich tok narracji, prowadzenia fabuły pokrewnymi gatunkami się nie posługują. Tak było w dotychczasowych powieściach Henryka Pajaka, natomiast najnowsza i nagrodzona pt. „Posłuchaj, Monika” rekwiizytami poetyckimi posługuje się często. To samo zdarza się Stanisławowi Andrzejowi Lukowskiemu w „Takiej psiej gwiazdzie”. Nie czynię z tego zarzutu, bowiem dobry majster rzadko posługuje się niewłaściwym narzędziem. Strzałkowski wie, że akurat w tych opowiadaniach nie powinien sobie na to pozwolić, pozostali dwaj laureaci odczuli jednak taką potrzebę i to ich książkom nie zaszkodziło. Przeciwnie, stało się nawet sprawnym środkiem wyrazu.

Dawno już nie czytałem tak osobistej powieści, jak „Posłuchaj, Monika”. Pisarz, który dotąd tkwił mocno w problematyce wojennej lub

bezpóredko powojennej, którego inspirowały fakty i problemy moralne minionego czasu, tutaj pokazuje się swemu czytelnikowi z zupełnie innej strony. Oczywiście, gdy piszę o osobistym losie w książce nie mówię o dosłowności. Los własny — tak, jest wyraźny, ale równocześnie jakże bardzo dopełniony i przetworzony. Mimo to ostatnie spostrzeżenie mogę powtórzyć: dawno już nie czytałem tak osobistej powieści, tak szczerej. W takich wypadkach łatwo przekroczyć granicę dobrego smaku, przejść do duchowego ekszibicjonizmu. Balem się tego, jest to bowiem niebezpieczne balansowanie. Skoro pisarz jednak przeprowadził nas wartko przez te wiry, a w ostatnich rozdziałach konstrukcję tę wsparł zupełnie zaskoczeniem fabularnym, faktograficznym i stylistycznym, więc okazał się jednak majtrem wytrawnym i nie wpadł we własne pułapki, które — jak się wydawało — sam sobie zastawiał. Monolog wewnętrzny zwykle jest formą nużącą, ale w tej powieści widać wyraźną dyscyplinę autorską. Powieść, mimo ukazania jednostkowego losu, posiada siłę uogólniającą, cechuje ją duży humanitaryzm i humanizm. Jest ona bowiem także opowieścią o możliwościach przebiecia się człowieka, który zwyczajowo i w rzeczywistości — nawet w naszym systemie — pozostaje zwykle na bocznych torze życia. Tymczasem bohater Henryka Pajaka boczny ścieżkami chadza rzadko, zdobywa dobrą pozycję w społeczeństwie.

Również u Strzałkowskiego „potkać” można sporo autobiografii, szczególnie w opowiadaniach „Kapucynek” oraz „Wap i krew”. Gdyby wyodrębnić jeszcze „Za murami jest gorące słońce” (bohaterem jest z kolei aktor, który potrafi w końcu przewyciężyć siebie i znowu wyrazić na scenie), to pozostałe utwory osadzone są na wsi lub z wsią są mocno związane. W inny niż u Pajaka sposób, bo bardziej czysto i dominują — głównie u bohaterów drugiego planu oraz u narratora — wspomniany już humanizm i humanitaryzm, szczególnie w odniesieniu do ludzi słabych, bezwolnych, lub nawet umysłowo ograniczonych. Zbigniewowi Strzałkowskiemu udało się utrwalić jeszcze — poro z tej wsi, która w zasadzie odeszła, a tylko od czasu do czasu daje o sobie znać, obnaża swoje dawne skazy i postawy. Równocześnie jest w „Odmienaniu czasu” widoczne i odczuwalne to nowe, chociaż ukazywane jeszcze powściągliwie.

Wręczcie Stanisław Lukowski, który otrzymał za swój zbiór nowel wyróżnienia w konkursie im. B. Prusa. „W takiej psiej gwiazdzie” dominuje w większości opowiadań lubelska dzielnicowa Kołmińka. W utworach tych jawi się jeszcze jako wieś, do której jednak nieubłagane zbliża się wielkie miasto. Nie tylko w sferach literackich tu chodzi — choć one są oczywiste — jest to cenny zapis o prawie wiejskiej społeczności, a bez jej woli skontaktowanej z tym wszystkim nowym, co przynosi industrializacja dużego ośrodka miejskiego. Nowele te są prawie miniatury, nie spuentowane, ale za to skłaniające do refleksji czytelnicej, pomagają wejść w życie takie, jakie ono przypuszczalnie jest. Puentują się niejako same ale dopiero po rekturze całości. Śmierć i trumna, które są wszechobecne, nawet na okładce zaprojektowanej przez Zb. Strzałkowskiego (tym razem jako plastyka), nie przygnębiają. Jest w tym tomiku pesymizm, ale wyważony, ale ograny czasami odrobina optymizmu. Środki literackie oszczędne, także te poetyckie, o których mowa była wcześniej.

Poilon konkursu u wzbogaca więc dokonania środowiska literackiego Lubelszczyzny. A o to przecież chodzi.

Tadeusz Jasiński

## MISTRZOWIE POLSCY

Aleksander Rozenfeld

### Drzewo

u Mariana hessa we wsi dwernik w bieszczadach  
niezłazką czadą przez bieżnia stworzone  
zakłętą w lipowe drzewo duszę mają i serce  
i choć patrzą drewnianymi oczami to przecież  
nie oznaczają wcale że nie czują dotyku metalu  
gdy dłuto do oczu dodaje gęste drewniane brwi  
jakie bezradne jest słowo przy drzewie  
bo mateje w każdej chwili rośnięcie drzewa  
i słowa w ogóle nie widać tak w gardło wejdzie  
a drzewo dopiero ho ho jak się rozszumi  
w swojej własnej mowie człowiek niemy  
u szczytu otrzytu stoi i tylko mu brodę i wąsy  
wydłuża czas dalej wie niewiele o sobie samym  
a cóż dopiero na drzewo mu się porzywać czy skalę  
do lasu wejście łatwiejsze niż powrót  
jak w życie cudze z butami lub boso  
gdy grzmie pioruny wszyscy diabli wkurwieni  
że się człowiek ośmielił wejść w ich władanie  
jak w swoje i kradnie świergoty motyli skrzydła przypina  
w trawy zapada by nikt nie znalazł  
a przecież choć tak bardzo chce to nie ucieknie  
ani w drzewo ani w kamień ani w wodę  
ja utulony nie mogę pnia jednego objąć  
a świat mi się marzy i las kpi i kamień  
tylko marian gdy dłuto weźmie w ręce drzewo dostaje  
drgawek kurczy i z tego właśnie strachu muś narle  
zamieszkuje w lipy kawałku do odczytania przy spojrzeniu  
kaszczym gotowa  
dziewczyn nam trzeba jak świeżego chleba  
tego rumienca odmienności kromki chleba  
dotyku słońca wtedy radość zamieszka i do le  
po myślenie wygoni z dalekiej drogi  
do zony la-odności powrót a jeszcze przecież  
w bieszczadach jestem i u Mariana hessa  
słucham dosiadam konia wyobraźni  
na polanach na trawach biega w otoczony zapadami

pod kurnik cichcem wielki kot się skrada  
wargi mu drgają w krwi przecieczu  
wystraszone słońce zakrywa oczy chmurą  
czuć burzę ptaki w dziuple a człowiek w dom zapada  
w kominku ogień trzaska i nagle grzmot nad caryńską  
w świetle błyskawicy widzę drzewo piorunem raniłone  
jak człowiek w ręce w palczynie chowa twarz  
przewrócone pada marian klaczkę prowadzi  
ogier ogonem merda i w tan puszcza się dziki  
przeczuwa zrebaki a mnie już wracać trzeba  
do domu nie dać szans ucieczce tej matronie nowem  
odwrocony od drzewa jak ichorz w pociąg wsiadam  
macham hessowi ręką zegniam twarzą pobladłą  
wiem wrócę tu nieraz gdy zbyt spokój zamieszka  
gdy własny dom za klatkę stanie  
jak człowiek od człowieka tak drzewo od drzewa  
różni się urodą słabszym korzeniom siły swej oddaje nieco  
gdzieś gatazka pod jetytem strzeli o korę dzik skóre  
otrze swędzącą tak człowiek skulony zapada w ciszę  
tylko w lesie człowiek jesti nawet pobladły ma szansę  
znaleziemia siebie zapytania skąd przychodzi i dokąd dalej  
tak w drzewo zapatrzony że go widzieć przestaje  
oczy przestonia chmura co nad głową  
język dęba sprzeciwia się mowie  
a ja żywiołu głodny burzę rzeźbę w sobie  
i piorunem słowa w własne serce walę  
lisem sobie jestem i wilkiem hieną i szakalem  
jakółką chyżą śmiotłość buduję do spokoju nie dojdę

### epilog eksodus

oj dana dana od drzewa do drzewa  
z jednej ojczyzny w drugą wskakuje  
ze swojej skóry w obca i dalej w tanięc  
obłąkana epoka kaze zmieniać twarze częściej  
niż na sobie wyprane koszule  
drzewo kamień i woda do nóg się tulią  
na nie ucieczka zawsze trzeba wracać  
tam skąd początek skąd powstało słowo  
mózg wszelkieru zamiaru  
a ja żywiołu głodny od nowa język przypominam  
niebłądzę do lasu jako dziecko włazłem

**P**ODCZAS gdy polscy komandos płyną statkiem „Cameronia” ku brzegom Afryki, my przyjrzyjmy się działalności komandosów brytyjskich w okresie, gdy nasza Samodzielna Kompania trenowała w Achnacarry, a następnie zdobywała gotowość bojową u wybrzeży Walii oraz w angielskim Eastbourne.

Po doświadczeniach Vaagso, St. Nazaire i Dieppe działalność komandosów nabierała coraz szerszego zakresu, coraz liczniejsze ich grupy wchodziły do akcji, aż z czasem powstały całe brygady, składające się z czterech Commando z brygadierem na czele. Niemniej jednak „małe rajdy”, stanowiące główne założenie organizacji komandosów przez płk. Dudley Clarke’a, nadal kontynuowano. Ich uczestnikami byli ludzie o niezwykłej zreczności, odwadze i umiejętnościach bojowych. Tacy, jakich mogliśmy później oglądać w fabularnych filmach „Działła Nawarony” lub „Tylko dla orłów”.

Było wiele grup specjalizujących się w „małych rajdach” — na przeciwległym brzegu kanału La Manche, do brzegów Norwegii czy też, w nieco późniejszym okresie, operujących w basenie Morza Śródziemnego. Wśród nich na szczególną uwagę zasługuje tzw. Special Boat Section, działająca przy 2 Commando. Jej członkowie specjalizowali się m. in. w nocnych wypadach w małych, dwuosobowych łódkach, do nieprzyjacielskich portów, gdzie zakładali namagnetyzowane ładunki wybuchowe do burt stojących na kotwicy niemieckich statków. Jednym z takich śmiałych wypadów była akcja przeprowadzona przez kapitana Geralda Montanaro i szeregowego Preece’a. W nocy z 11 na 12 kwietnia 1942 r. dostali się niezauważeni do portu w Boulogne i założyli ładunki na burcie niemieckiego tankowca o wyporności 5 tys. ton. Po wybuchu statek zatonał, a obydwo śmiałkom udało się szczęśliwie dotrzeć do oczekującego w bezpiecznej odległości kutra Royal Navy.

Podobne zadania, co Special Boat Section, miała Smallscale Raiding Force, utworzona przez majora G. March-Phillipsa, majora J. G. Appleyarda i kapitana G. Hayes’a. Swoją kwaterę założyli w posiadłości ziemskiej Anderson Manor, w pobliżu Portsmouth i Portland — głównych miejsc wypadowych tego rodzaju rajdów. Mieszkało w starym elżbietańskim domu, wokół był wspaniały park, a właściciel W. L. Stephenson, dokładał wszelkich starań, aby jego niecodzienni lokatorzy mieli wszelkie wygody. W tym sielskim otoczeniu zorganizowano własny ośrodek treningowy, mikroskopijne Achnacarry, w którym komandosi bezustannie doskonalili swoje umiejętności, ćwiczyli przeskakowanie szerokich rowów wypełnionych zwojami drutu kolczastego, przechodzili na mostach linowych rzekę, w której pływały miny morskie z odbezpieczonymi zapalnikami; uczyli się też tutaj żeglowania na wszelkiego rodzaju drobnym sprzęcie pływającym: łódkach wiosłowych, motorówkach, jaachtach żaglowych itp.)

Smallscale Raiding Force wykonała szereg udanych akcji, jak np. opanowanie w nocy z 2 na 3 września 1942 r. latarni morskiej Casquet na jednej z zajętych przez Niemców wysp kanału La Manche, ale warto zapoznać się szerzej z jedną z akcji nieudanych. Pokazuje ona bowiem w sposób szczególnie wyrazisty, jakie niebezpieczeństwa czekały komandosów lądujących na wrogim brzegu.

Nocą z 7 na 8 września 1942 r. dwunastu ludzi, wśród których znajdowali się March-Phillips, Appleyard i Hayes, podpłynęło do miejscowości St. Honoré lezacej u wybrzeża Zatoki Sekwany. Appleyard, kontuzjowany w nogę w wypadzie na Casquet, pozostał na pokładzie kutra motorowego, a reszta wsiadła do małej łódki; wkrótce żołnierze w zielonych beretach stali już na lądzie. Niestety, Niemcy tym razem byli wyjątkowo czujni. Komandosi natknęli się niespodzianie na siemioosobowy patrol i choć w starciu wszyscy Niemcy zginęli, to już po chwili pojawili się na miejscu walki następni, o wiele silniejszy oddział nieprzyjaciela, a Brytyjczycy musieli ratować się ucieczką.

Zaczęło się teraz prawdziwe polowanie na komandosów usiłujących dostać się w ciemnościach do lądu. Tymczasem Niemcy zaczęli strzelać rakietami. W ich świetle bili z broni maszynowej do biegających po brzegu ludzi, jak na strzelnicy. Podziurawiona kulami łódka nie nadawała się do użytku. Pozostali przy życiu rzucali się w wodę próbując dopłynąć do kładzącego w pobliżu kutra motorowego. Nikomu się to nie udało i w końcu Appleyard musiał odpłynąć do Portsmouth wrócił samotnie z poczuciem całkowitej klęski.

Loży pozostałych na brzegu komandosów potoczyły się bardzo różnie. Mark-Phillips zginął skoszony serią pistoletu maszynowego, padło bez życia jeszcze kilku innych. Pozostałych czekały długie miesiące w katowniach Gestapo i niewola w obozach.

Hayesowi udało się początkowo uciec. Będąc doskonałym pływakiem skoczył do morza, a następnie przez wiele godzin płynął wzdłuż brzegu aż napotkał grupę Francuzów, którzy się nim zapiekowali. Przejął go następnie francuski Ruch Oporu i ułatwił ucieczkę do Hiszpanii. Ale tam Hayes został aresztowany przez policję gen. Franco, przekazany Niemcom, zaś w dziewięć miesięcy później — rozstrzelany.

Inny uczestnik wypadu na St. Honoré, Francuz André Desgrange, przeszedł jeszcze bardziej niezwykłe koleje losu: schwytano go, został poddany torturom, ale nie powiedział ani słowa. Przy najbliższej okazji uciekł z więzienia i ruszył do Hiszpanii. Podobnie jak Hayesowi, jemu również szczęście przestało tam dopisywać. Został schwytany powtórnie, znowu był torturowany i... znowu zdołał zbiec. Po wielu przygodach Desgrange dostał się do Anglii, a wkrótce... znowu był w Francji. Tym razem jako agent brytyjskiego wywiadu.

Dla nas najbardziej ciekawa będzie chyba jednak historia starszego sierżanta Thomasa Wintera.

## MAŁE RAJDY I WIELKIE OPERACJE

Mirosław Derecki

Hilary St. G. Saunders, z którego książki zaczerpnąłem opis wypadu na St. Honoré, poświęca Winterowi zaledwie jedno zdanie: „*był bity do nieprzytomności, ale przeżył i w końcu dotarł do naszych linii w ostatnich dniach wojny*”. Obszernej o losach Wintera opowiada Peter Young, były dowódca 3 Commando, w swej książce o komandosach *?*. Otóż Winterowi już się prawie udało dopłynąć niepostrzeżenie do kutra Appleyarda, kiedy nagle statek został trafiony celnym strzałem z brzegu i zmuszony był zmienić kurs. Klincz z rozpaczy, sierżant mający się już za uratowanego, musiał płynąć z powrotem do brzegu, gdzie czekali na niego rozjuszeni hitlerowcy. Widział jak „tłuczkowymi” granatami niby maczugami bili innego komandosa, który właśnie z trudem wypelzał z wody na piasek...

Winter, zbity podobnie, przeżył. Przeszedł serię badań w niemieckich więzieniach trafił ostatecznie do obozu jeńckiego znajdującego się na terenie Polski. Nie opuszczała go jednak myśl o ucieczce i powrocie do oddziału. W końcu udało się Winterowi nawiązać kontakt z polskim podziemiem i wkrótce znalazł się po drugiej stronie drutów. I oto rzecz najbardziej zaskakująca: zamiast przedzierać się do Anglii, Winter stał się instruktorem dywersji. Bardzo szczegółnym instruktorem: w nocy szkolił polskich partyzantów, a przed świtem... przemycił się tajemnym przejściem z powrotem do obozu! W końcu przylapano go na jednym z takich „spacerów” i skazano na dziesięć lat więzienia. Kiedy wojska radzieckie wyzwalały polskie ziemie, jeńców pognało na zachód, w głąb Niemiec. Wtedy to Winterowi udało się zbiec z kolumny. Po szeregu dalszych przygód przedarł się przez linię frontu do wkraczających już w granice Niemiec aliantów.

Historia Wintera, szczególnie jego działalność w Polsce, może wydawać się wręcz nieprawdopodobna. A jednak — nie na takie czyny wazyli się więźni w stalagach lub oflagach żołnierze.

Stanisław Okęcki w książce „Cudzoziemcy w polskim ruchu oporu 1939 — 1945” *?* nie wspomina wprawdzie o Winterze, ale pisze m. in. o słynnej próbie ucieczki 16 angielskich i 6 polskich pilotów z jednego z oflagów znajdujących się w Polsce, w drugiej połowie 1942 r. Przeprowadzona została ona przy pomocy polskiego podziemia i zakładała porwanie samolotów z pobliskiego lotniska Luftwaffe. Ostatecznie ucieczka udała się tylko jednemu lotnikowi, Anglikowi Harry Rowlandowi. Inny pilot, Polak zwany „Staszkiem z Powiśla”, musiał po kilku minutach lądować, bo w zbiorniku jego samolotu znajdowały się tylko reszki paliwa. Była to akcja ze wszech miar godna komandosów choć przeprowadzili ją lotnicy. Nota bene, w polskim ruchu oporu działało wiele Brytyjczyków, którzy uciekli z obozów jeńczych, lub zostali zestrzeleni w czasie lotów nad Polską; przy V Oddziale Komendy Głównej Armii Krajowej istniała nawet specjalna komórka zajmująca się sprawą opfeki nad brytyjskimi

zbiegami a także — akcją przerzutową przez Węgry, ZSRR, Szwecję lub Turcję z powrotem do Wielkiej Brytanii *?*.

Wracając do „małych rajdów”, nie można pominąć słynnej operacji „Muszkiet” przeprowadzonej w Norwegii nocą z 20 na 21 września 1942 r. przez grupę komandosów z 2 Commando i kilku Norwegów. Zniszczono wówczas wielką hydroelektrownię w Glamfjord, co spowodowało zahamowanie pracy wytwórni aluminium produkujących dla potrzeb niemieckiego przemysłu wojennego. Wzięci do niewoli dowodzący komandosami kapitanowie Gordon Black i Joe Houghton zostali przez Niemców rozstrzelani.

Komandosi przeprowadzili szereg akcji w basenie Morza Śródziemnego w dniach poprzedzających ostateczną rozgrywkę o północną Afrykę, i to właśnie członkowie Special Boat Section pomogli w październiku 1942 r. przedostać się wysłannikom amerykańskiego Sztabu Generalnego z pokładu łodzi podwodnej „Seraph” na brzeg afrykański w celu nawiązania bezpośredniej łączności z dowództwem francuskim podległym rządowi Vichy.

W końcu 1942 r. jeden z komandosów, sierżant Don Craig, wziął udział w nieudanej ataku „żywych torped” na ukryty w norweskim fiordzie pancernik „Tirpitz”. Craig został odkomenderowany do tzw. Eksperymentalnej Floty Podwodnej zorganizowanej przez Royal Navy *?*.

W 1943 r. wykonano szereg małych rajdów na wybrzeża Norwegii w ramach utworzonej spec-

jalnie „Timberforce”, brzegi Francji penetrowały szczególnie po wysiedleniu przez Niemców całej ludności z pasa nadmorskiego — dziesięćosobowe grupy „Forfarforce” oraz „Hiltforce” stworzonej przez znanego już nam kapitana B. Hilton-Jonesa z 10-th Inter Allied Commando. Członkowie tej ostatniej grupy, mieli jako cudzoziemcy, przeważnie Francuzi, wyjątkowo dobre rozeznanie w terenie. Byli wreszcie pojedynczy śmiałkowie, którzy nocą badali skały, plaże i pobierali próbki gruntu w miejscach, gdzie wkrótce miała się rozpocząć wielka inwazja.

Wylania się z morza stalowa reka, która porwała niemieckich strażników z ich posterunków. Tak podsumował „małe rajdy” z właściwą sobie swadą i obrazowością — Winston Churchill w 1942 r.

8 listopada 1942 r. połączone siły amerykańskie i brytyjskie pod dowództwem gen. Eisenhowera rozpoczęły lądowanie w Północnej Afryce, od Casablanki po Alger. Były wśród nich całe 1 oraz 6 Commando, a także American Rangers, komandosi amerykańscy. Coraz więcej wojsk alianckich wychodziło na obcy brzeg. Zakładano obozy, budowano umocnienia, przygotowywano się do walki na stałym lądzie. W tej sytuacji również i przed komandosami rysowały się nowe zadania, nowym przedsięwzięciem miał ulec charakter i organizacja komandosów.

W czasie lądowania wszystko było nowością i nie wszystko pokrywało się z oczekiwaniami. Kiedy 6 Commando, zajmując jeden z portów zaśpiewało przyjaźnie „Marsyliankę”, miejscowi Francuzi spod znaku admirała Darjana weale nie okazali entuzjizmu. Saunders, przytaczając ten fakt, dodaje dość złośliwie, że albo Francuzi słuchając śpiewających Brytyjczyków „nie mogli rozpoznać melodii... (swojego hymnu) albo wątpili czy le jour de gloire (dzień chwwały) istotnie nadszedł.

I i 6 Commando stoczyły w Północnej Afryce szereg ciężkich walk, ale ich działania pokrywały się właściwie z tym, co robiła liniowa piechota. Przy czym komandosi znajdowali się w o wiele trudniejszych warunkach niż piechurzy: przeznaczani do nagłych, krótkotrwałych, bardzo specjalnych akcji, nie posiadali ani odpowiedzialnej broni wsparcia, ani transportu kolowego, ani nawet... kuchni polowych. Kiedy dla innych wojsk nadchodził czas obładu, oni żywił się jedynie tym, co znaleźli w swoich „żelaznych poręczach”. Dopiero w 1943 r. oddziały komandosów zostały zaopatrzone w samochody, a każda „troop” otrzymała broń ciężką: karabin maszynowy Vickersa, 3-calowy moździerz i 8-funtowe działko przeciwczołkowe. Każde Commando miało teraz odpowiedzialną kompanię wsparcia, a cztery Commando tworzyły Commando Brigade, dużą i silną jednostkę, która nieraz występowała w sytuacjach

# BIERUT

Dokończenie ze str. 1

wiele, może nawet wszystko, choć go nigdy na oczy nie widzieli. Najbardziej przecież znamienne, że w podobny sposób określają Bieruta ludzie



Praca nr 3

Fot. A. Polakowski

młodzi, którzy urodzili się już po śmierci prezydenta i z natury rzeczy nie ulegają resentymem i w ogóle skłonni są do krytycznego przyglądania się światu.

Bierut nie miał aparycji przywódcy, człowieka współtworzącego historię. Szczupły, niewysoki — nawet z oficjalnych portretów uśmiechał się jakby zakłopotany obiektywem; nie przypominał głowy państwa, lecz krewnego, który ubrawszy się odświętnie przyszedł oto w gościnę z peryferyjnej dzielnicy miasta. Wybitny działacz zachował wszelkie cechy zwyczajnego człowieka i może dlatego tak dobrze rozumiał zwyczajnych ludzi, którym tylekroć pomagał w trudnych dla nich momentach życia.

Jak wiadomo, Bolesław Bierut urodził się na terenie obecnego Lublina, tam gdzie teraz ul. Narutowicza krzyżuje się z al. Świerczewskiego. Dzieciństwo i młodość spędził w budynku przy ul. Sierociej 2a, którą, przypomnijmy, często malował Edward Nadulski. Zdaje się, że sentyment do rodzinnego miasta towarzyszył mu i wówczas, kiedy sprawował wysokie funkcje polityczne i państwowe. Wiadomo, że Bierut żywo interesował się np. sprawą restauracji lubelskiego Starożytności, podjętą w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Zresztą problemy kultury zawsze znajdowały się w polu jego uwagi.

„Aby wyrównać wielką krzywdę społeczną mas ludowych — stwierdził w przemówieniu wygłoszonym 16 listopada 1947 roku na otwarciu radiostacji wrocławskiej — czynimy wysiłki, aby podnieść ich stopę życiową, aby z kraju zacołanego gospodarstwo czynić kraj produkujący w dziedzinie przemysłowej i technicznej. Nie można tego osiągnąć bez równoczesnego podniesienia poziomu oświaty, nauki i kultury mas ludowych, bez równoczesnego kształtowania nowego typu człowieka... Upowszechnienie i uspołecznienie twórczości kulturalnej we wszystkich jej różnorodnych przejawach i dziedzinach — oto zadanie, które wkłada na barki obecnego pokolenia twórców i na barki całego narodu nowy okres historyczny, okres demokracji ludowej... Najzupełniej nieuzasadniony i fałszywy jest przesąd, że ludzie pracy, że ich zainteresowania wymagają obniżenia poziomu twórczości kulturalnej i artystycznej, dostosowania jej do specyficznego, jakoby prostackiego gustu i upodobań mniej lub więcej ordynarnych lub sprośnych. Wprost przeciwnie... sztuczna, wulgarna „kultura ludowa”, sztuka dla maluczkich — to wynalazek jaśniepańskiego dworu, a nie rzeczywista potrzeba chłopca czy robotnika... Trzeba, aby przy wysokim poziomie artystycznym książka była tania, dobra i dostępna dla najszerszych mas. Trzeba, aby teatr, dając do jak najwyższego poziomu artystycznego, był tani i nastawiony swoją treścią nie na eli-

ty, lecz na szerokie masy. Trzeba, aby filmy były tanie i dostępne dla wszystkich. Trzeba, aby najlepszych utworów muzycznych mógł słuchać w salach koncertowych chłop i robotnik”.

Od 1977 roku we wspomnianym domu przy ul. Sierociej 2a mieści się Muzeum Historii Ruchu Robotniczego im. B. Bieruta. W suterenu odtworzone mieszkanie Wojciecha Bieruta, ojca późniejszego prezydenta, na parterze wyeksponowano m. in. dokumenty obrazujące działalność polityczną przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej oraz przedmioty codziennego użytku i fragment gabinetu z biurkiem, przy którym Bierut pracował w swym warszawskim mieszkaniu przy ul. Klonowej.

Obecnie Lublin przygotowuje się do bardziej widocznego i monumentalnego upamiętnienia postaci pierwszego po wojnie i ostatniego prezydenta kraju. W ramach tego przedsięwzięcia urządzono zamknięty konkurs rzeźbiarski, w którym uczestniczyli następujący artyści: Bogdan Chmielewski (ASP Warszawa), Bronisław Koniuszy (ASP Warszawa), Bronisław Kubica (Pracownia Rzeźby Politechniki Warszawskiej), Sławomir Mielleszko (Instytut Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie), Adam Myjak (ASP Warszawa) i Alfred Wiśniewski (PWSSP w Gdańsku). Wykonali oni siedem projektów pomnika Bolesława Bieruta, które 6 grudnia minionego roku udostępnił publiczności w sali lubelskiego BWA.

Patrząc na te gipsowe modele dochodzi się do wniosku, że pomnikowe i w miarę czytelne w swym przesłaniu ideowym przedstawienie takiej postaci, jaką był Bierut, jest niezmiernie trudne, nawet dla artystów z wartościowym skądinąd dorobkiem twórczym i do tego uczących młodzież rzemiosła i myślenia rzeźbiarskiego. Gdyby prezydent był osobistością zmitologizowaną, gdyby chadzał w mundurze wojskowym, gdyby upamiętnił się jakimś charakterystycznym i dramatycznym gestem — może wówczas podziałalby żywiej na wyobraźnię wymienionych rzeźbiarzy, wymagającą, jak się zdaje, ostrych bodźców. Tymczasem, o czym była mowa, Bierut odziewał się skromnie, w jednorzędowe garnitury koloru „stalowego”, przemawiając ale gestykułował, najchętniej pijał herbatę, godzinami przesiadywał na naradach i przy biurku, w swojej praktyce politycznej unikał, o ile było to możliwe, skrajności, przeciwstawiał się nadgorliwości, korzystał z przysługującego mu prawa łaski, walczył z nadużyciami.

Wiele wskazuje na to, że taki właśnie wizerunek działacza politycznego i człowieka nie był obcy autorom projektów, którzy jednak, w większości, nie potrafili referowanych treści przyoblec w odpowiednio atrakcyjną formę i trafną symboliczną formułę rzeźbiarską. W rezultacie otrzymaliśmy — organizatorzy słusznie odwołali się do opinii publicznej przed zakwalifikowaniem wybranego projektu do realizacji — szereg gipsowych figur, które nie tylko nie spełniają podstawowych kryteriów ideowych konkursu, ale na domiar wszystkiego dalekie są poprawności rzeźbiarskiej. Można przypuszczać, że waga przedsięwzięcia obezwładniła inwencję autorów.

Niemniej, trochę to paradoksalne, konkurs spełnił swoje zadanie: wśród pokazanych projektów jeden, oznaczony nr. 3, w pełni, moim zdaniem, zasługuje na realizację. Umieszczając 8,5-metrową figurę Bolesława Bieruta (z brązu) na tle wielkiego prostokąta z blachy miedzianej (15 — 10,5 — 3 m), w środkowej partii wglębioną się motywem syntetycznie potraktowanego orła, autor nie tylko wyeksponował — dyskretnie, acz sugestywnie faktyczną wielkość i polskość Bieruta, ale nadał tej przestrzennej strukturze znaczeniowej pewną dramaturgię: przez delikatne skierowanie prawej ręki postaci w kierunku godła narodowego. W tym pomniku coś się dzieje, w tej rzeźbie nie ma opisu i pozowania, lecz jest akcja, uruchomiona środkami plastycznymi. Można sobie wyobrazić swoistą ruchliwość tej struktury pod wpływem zmiennego oświetlenia: słonecznego i sztucznego.

Do podobnego rozwiązania zmierzał chyba autor projektu nr. 4, kończąc jednak na ustawieniu głównej postaci na tle symbolicznej płaszczyzny, co dało efekt typowo scenograficzny, ale w bardzo starym stylu.

Na koniec dochodzę do wniosku, że regulaminy wszelkich ważnych pod względem historycznym i politycznym przedsięwzięć, mających artystyczne upamiętniać ludzi i fakty, winny zawierać klauzulę zobowiązującą twórców do lektury cytowanego wyżej tekstu Bolesława Bieruta, wygłoszonego ponad trzydzieści lat temu.

Ireneusz J. Kamiński

P.S. Projekt Bronisława Kubicy został zakwalifikowany przez jury do realizacji.

Kamena str. 7

wymagających interwencji wyborowej piechoty lub piechoty morskiej.

10 lipca 1943 r. rozpoczęła się, określona kryptonimem „Husky”, Operacja Sycylijska dowodzona przez brytyjskiego generała H. Aleksandra. Została ona poprzedzona najpierw powietrznym, a następnie morskim desantem na wybrzeża Sycylii. W bitwach o Sycylię wzięła m. in. udział utworzona właśnie Special Service Brigade, (Brygada Służb Specjalnych), w której skład wchodziło 2 i 3 Commando oraz 40 i 41 (Royal Marine) Commando. Był to pierwszy wspólny występ tych dwóch, o tyle do siebie podobnych, co i różniących się formacji. Istniała pomiędzy nimi rywalizacja i zaznaczał się brak wzajemnego sentymentu, choć walczyły dzielnie ramie przy ramieniu.

Piechota morska utworzyła „swoje” oddziały komandosów dopiero w połowie 1942 r., gdy komandosi „armijni” (w zasadzie powinno się ich od tej pory nazywać Army Commandos) mieli już za sobą piękny szlak bojowy, no i... spełniali w znacznej mierze zadania do jakich była m. in. powołana właśnie piechota morska. Ta zaś od początku wojny tkwiła na lądzie, strzegąc wybrzeży Wyspy. Musiało to w następstwie rodzić pewne kompleksy i wzajemne uprzedzenia. Przede wszystkim zaś — w oddziałach „klasycznych” komandosów służyli sami ochotnicy, podczas gdy do Royal Marine Commandos wcielano żołnierzy na „normalnych” zasadach, nie pytając ich o zdanie. Jedynie 40 (Royal Marine) Commando składało się w całości z ochotników. (Nb. uczestniczyło już ono w desancie pod Dieppe).

Następny „występ” Special Service Brigade miał miejsce już na „włoskim butie” 9 września 1943 r. rozpoczęło się lądowanie aliantów pod Salerno. W tej słynnej operacji desantowej brało udział 600 okrętów z 8 amerykańskimi i brytyjskimi dywizjami na pokładzie, cztery samoloty, cztery pancerniki ostrzelujące z najeźszych dział Niemców broniących wybrzeża. Dokładały swoją porcję pocisków polskie okręty wojenne: „Piorun”, „Krakowiak” i „Ślązak”.

Poprzedniej nocy na plażach w rejonie Salerno wylądowały silne grupy komandosów z zadaniem zniszczenia artyleryjskich baterii nadbrzeżnych. W miejscowości Marina wyszło na brzeg 2 Commando: 338 ludzi pod ppłk. Jackiem Churchilllem oraz 41 (Royal Marine) Commando: 400 żołnierzy pod dowództwem Lumsdena. Byli z nimi — brygadier Laycock, brat Jacka — Tom Churchill oraz Randolph Churchill — syn premiera Winstona Churchilla, także komandos Jak widać, komandosi zawsze mieli szczęście do ludzi o nazwisku Churchill.

Tej samej nocy, w miejscowości Malori wylądowały z podobnym zadaniem trzy bataliony American Rangers.

W ciągu kilkudniowych, niezwykle zaciętych walk aliantów z Niemcami pod Salerno, walk obfitujących w dramatyczne momenty dla wojsk desantu, komandosi złożyli obfitą danią krwi. Z 728 ludzi, którzy weszli do akcji — zginęło i zostało rannych 367 żołnierzy; inaczej mówiąc obydwu Commanda straciły łącznie 48 proc. swego stanu bojowego.

Druga część Special Service Brigade stoczyła w dniach 3—6 października ciężki bój pod Termoli, niewielkim miasteczkiem na zachodnim wybrzeżu Adriatyku. Liczące — po wykrawieniu na Sycylii — już tylko 180 ludzi 3 Commando oraz 40 (Royal Marine) Commando otrzymały rozkaz uchwycenia z morza: portu Termoli oraz ujścia rzeki Biferno mogących stanowić dogodny punkt oparcia dla wojsk marszałka Kesselringa, cofających się przed armią Montgomery’ego. Zadanie zostało wykonane. Przez następne 3 dni komandosi mimo wściekłych ataków żołnierzy niemieckiej 1 Dywizji Spadochronowej i części 16 Dywizji Pancerniej utrzymali się na stanowiskach aż do nadejścia wojsk brytyjskich.

Pod Salerno odznaczył się wielką odwagą ppłk Jack Churchill, dowódca 2 Commando, znany szeroko wśród komandosów pod przezwiskiem „Mad Jack” — Szalony Jack. Ten dzielny żołnierz był zarazem człowiekiem niezwykle ekscentrycznym: już w czasie rajdu na Vaagso prowadził swych ludzi w grudniu 1941 r. do boju, dmąc w piszczałki szkockiej kobzy; do walki chadzał niejednokrotnie z... szablą w dłoni. Właśnie pod Salerno, wymachując przed oczyma przerażonych Niemców złowrogo błyskająca w mroku klinga szabli, wziął do niewoli kilkudziesięciu jeńców. Otrzymał wówczas wysokie odznaczenie brytyjskie — Distinguished Service Order, a pytającemu generałowi dlaczego on, komandos, nie rozstaje się ze swą archaiczną bronią, odparł śmiało: *Według mojej opinii, sir, każdy oficer wchodzący do boju bez szabli, jest po prostu, niekompletnie umundurowany*.

O Jacku Churchillu krążyły całe legendy a polscy komandosi powtarzali je pewnie tym chętniej, że „Szalonego Jacka” cochowała nie tyle angielska, co raczej polska „kawalerska fantazja”.

23 września 1943 r. Samodzielna Kompania Polskich Komandosów, wylądowała w porcie Alger. Stad miała wkroczyć ostatecznie na swój szlak bojowy.

1) Hilary St. G. Saunders: „The Green Beret”, London 1971.

2) Peter Young: „Commando”, London 1969.

3) Wyd. „Interpress”, Warszawa 1975.

4) „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, London 1959.

5) Obszerne o tej akcji Royal Navy pisze Jan Nowak w książce „Podwodne kwadrygi”, Wyd. Morskie Gdynia 1969.



Mirosław Derecki



Tadeusz Gwardak



Tadeusz Jasiński



Marek Adam Jaworski

## MIROSŁAW DERECKI

**T**RZYDZIESIĆ pięć lat temu miałem niespełna dziewięć lat, ale dobrze zapamiętałem ludzi płaczących ze szczęścia na widok orłów, które nosili na czapkach wkraczający do naszego podlubelskiego miasteczka żołnierze. Niedługo potem oglądałem w sali kina „Lewart” w Lubartowie pierwsze chyba w wyzwolonej Polsce przedstawienie II części „Dziadów”, dane przez zespół teatralny z miejscowego gimnazjum pod kierownictwem prof. Marii Perczyńskiej i prof. Karola Skarucha. W tej samej sali oglądałem tuż po wyzwoleniu radziecki film „Ona broni Ojczyznę” i polski dokument „Przyślegamy ziemi polskiej”, który przywozili ze sobą oddziały Kościuszkowców. Ojciec wkrótce wymaszerował z 2 Armia; miał z jej XII Chirurgicznym Szpitalem Polowym dojechać aż pod Budziszyn. Był to jego dalszy ciąg walki z Niemcami; przez całą wojnę związany z konspiracją zajmował niepoślednie stanowisko w miejscowym podziemiu.

Chyba to wszystko sprawiło, że swoje dotychczasowe dorosłe życie związałem — jako dziennikarz — z reportażem historycznym dotyczącym przede wszystkim okresu II wojny światowej i udziału w niej Polaków oraz z publicystyką teatralną i filmową.

Moje spojrzenie na minione trzydziestopięcioletnie wspiera się często o grunt lubelski, bo tutaj jako siedemnastoletni chłopiec rozpocząłem studia.

Przy ulicy Nowotki stały w lutym 1953 r. dwa budynki z czerwoną cegłą, niedawno oddane do użytku gmachy Fizyki i Chemii. Zorganizowano w nich pierwsze w historii UMCS „Pokazy z fizyki”, na które przyjeżdżały wycieczki szkolne z całej Lubelszczyzny, z tym większym zainteresowaniem, że naukowcy prezentowali m. in. prymitywne urządzenie pozwalające przesyłać na odległość (!) obrazy. Mówiono o telewizji, jako o cudzie odległej przyszłości, który nie prędko zawita do Lublina.

W wypożyczonych w różnych częściach miasta salach odbywały się w połowie lat pięćdziesiątych próby niewielkiego studenckiego tanecznego zespołu folklorystycznego, którym kierował młody i szczupły (wówczas) wykładowca wf. na Uniwersytecie, ale już wąsаты Stanisław Leszczyński. Zespół Taneczny UMCS jest dzisiaj znany prawie na całym świecie. Podziwiałem też występy Teatru Młodzieżowego Wiedza pod kierownictwem Wandy Kaniorowej, który potem zyskał sławę jako Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej. W tym czasie syn znajomych mojego wujostwa, Andrzej Ejsmund, napisał sztukę lalkową „Złota kula”, wciągnął do amatorskiego zespołu pod kierownictwem Maryli Kadry swoją siostrę, Gosię Ejsmundównę, i to był początek dzisiejszego Państwowego Teatru Lalki i Aktora im. Andersena w Lublinie. Sam później pracowałem jako adept-aktor w tym teatrze, w przerwie pomiędzy występami w studencko-artystycznym kabarecie „Sex” i powołanym do życia przez dziennikarzy kabarecie „Czart”. O mały włos nie zostałem aktorem zawodowym; grałem w Teatrze im. Osterwy role Giacoma w „Huzarach”, Breala i Don Antonia w „Zielonym Giliu” Tirso di Moliny. Pewnie przeważał we mnie w tym czasie element teatralny, zaszczerplony na pierwszych powojennych przedstawieniach w rodzinnym mieście.

Dwadzieścia lat z minionego trzydziestopięcioletnia upłynęło mi na związku z „Kamena”. Książki o majorze „Hubalu” i o „Hubalczykach” powstały z tego właśnie związku, w oparciu o reportaże, jakie zamiezczałem na łamach pisma. „Sprawa majora Hubala” wystawiona przez Kazimierza Brauna w Teatrze im. Osterwy wydaje mi się spinać te wszystkie moje dziennikarskie i teatralne fascynacje.

Chyba jednym z najważniejszych dla mnie etapów w pracy zawodowej był wielomiesięczny po-

byt w Wielkiej Brytanii, gdzie szukałem materiałów do cyklu „Na ścieżkach polskich komandosów”. Zdarzył się wtedy między innymi taki późny wieczór, kiedy z kupionego przypadkiem w kiosku obok londyńskiej stacji metra Earl's Court „Zycia Warszawy” dowiedzieliśmy się z żoną, że w Kazimierzu nad Wisłą spłonął Dom Wycieczkowy PTTK, a jedna z naszych znajomych poniosła śmierć w wyniku pożaru. Rozdzwoniły się wtedy w Londynie telefony między wszystkimi znajomymi lublinianami. Może nigdy nie czuliśmy się tak silnie związani z tym wszystkim, co przeżyliśmy dotąd w Polsce, na Lubelszczyźnie, w Kazimierzu — jak owego wieczoru.

Często, przechodząc przez tzw. „małpi gaj” przed hotelem „Unia”, mijam spieszącego w prze-

Lublin międzywojenny kończący się przy Lipowej, rogatce Lubartowskiej, Nowym Świecie, przejeżdżie przez tory przy obecnej ulicy Armii Czerwonej, na ulicy Kalinowszczyzna. Jest dziś znikomą częścią miasta. Wielki przemysł i wielkie dzielnice mieszkaniowe wyszły daleko poza jego dawne granice.

Kiedy rozmawia się z ludźmi, z mieszkańcami naszego miasta jako jeden z czołowych problemów wysuwany jest długi okres oczekiwania na mieszkania. Ale zapomina się, że to zapotrzebowanie na mieszkania jest wynikiem nie tylko wzrostu liczby ludności, lecz także wzrostu ich zamożności. Nie od rzeczy jest przypomnienie, że dziś już prawie nikt nie mieszka w takich warunkach, w jakich mieszkała znaczna część lubli-

## 35 LAT I JA

ciwnym kierunku szczupłego, młodo wyglądającego blondyna. „Cześć, Nechciu!”. mówię jak z dawnych czasów powojennych, kiedy jako uczniowie Prywatnej Szkoły Podstawowej im. Jana Kochanowskiego w Lublinie przy ul. Lipowej chodziliśmy w jednej parze na kolonijach pani Sadowskiej w Rakówku koło Swieradowa Zdroju. A potem nagle przypominam sobie, że Andrzej Nechaj jest jednym z profesorów Akademii Medycznej, że dawno minęły już lata gry w hacie i w cybergaja, i że mnie również siwieją włosy. Czas został nieutracony. Ale fakt jego przemijania skłania coraz częściej do refleksyjnej zadumy.

## TADEUSZ GWARDAK

**K**IEDY przed dziesięć laty zbliżała się 25 rocznica powstania Polski Ludowej, miałem 50 lat. Skojarzyło mi się wtedy że połowa tego pięćdziesiątych lat przypada na życie w społeczeństwie budującym socjalizm. Dziś już większa część mego życia przebiegała w nowych warunkach. Zresztą wszyscy Polacy, którzy jeszcze pracują, więcej niż połowę swego życia spędzili w okresie nowego społecznego ustroju. A wiadomo, że i ci stanowią już mniejszość społeczeństwa, bo większa część współczesnych Polaków zna już okres międzywojenny oraz lata wojny i okupacji tylko z historii, literatury, filmu, opowiadań rodziców i dziadków. A to wszystko, co widzą dziś, uważają za całkiem zwyczajne, czego nie można porównywać z tym, co było, a czego się nie zna i nie pamięta.

Lata swej młodości wspomina się z sentymentem, lata młodości rodziców i dziadków są już tylko egzotyka w stylu retro. A przecież przeszłość to nie tylko retro z jego strojami, sprzętami, starym kinem, lecz także konkretne życie w określonych, niełatwych warunkach, które można by dziś określić, że kupić można było wszystko, tylko nie było za co, bo średnia zarobkowość społeczeństwa była bardzo niska.

Na to, co zmieniło się, najbardziej wyraźnie patrzył przez pryzmat najbliższego otoczenia, swej ulicy, swego miasta. Dlatego też ja najlepiej widzę nowe w naszym życiu przez nowe w swoim mieście. Mój rodzinny Lublin rozrósł się trzykrotnie: z ośrodka handlowo-administracyjnego z niewielkim przemysłem przekształcił się w ośrodek przemysłowy i naukowy. I to zdecydowało o jego wielkości. Trzysta tysięcy mieszkańców dzisiejszego Lublina — to więcej niż przedwojenny Kraków czy Poznań. I to wszystko w ciągu tych 35 lat, kiedy nowy ustrój umożliwił przebudowę społeczeństwa i zmienił nie tylko jego warunki życia, lecz i sposób myślenia.

nian w latach międzywojennych. Gdy idzie się ulicami starymi, takimi jak Buczka, 1 Maja, Lubartowska i ich sąsiedztwo, widzi się dawne mieszkania w suterrenach, niskich oficynach przekształcone na warsztaty, magazyny, składki, piwnice, bo to się nie nadaje do zamieszkania. A kiedyś wielu mieszkańców naszego miasta nie było po prostu stać na opłacenie mieszkania o lepszych warunkach.

Podobnie sytuacja wyglądała i w innych dziedzinach: zaopatrzenia w środki żywności i artykuły przemysłowe codziennego użytku. Dlatego, gdy słyszę, że nasze istniejące jeszcze trudności są wynikiem szybkiego rozwoju, nie wzruszam ramionami, bo przypomina mi się tamten Lublin, który był przecież nie wyjątkiem, ale odbiciem sytuacji w całym kraju.

Z sentymentem wspomina się swe dziecięce i młodzieńcze lata, z sentymentem patrzy się na tamto spokojne i senne miasto. Ale z dumą spogląda się na Lublin współczesny, który w wielu dziedzinach gospodarki, nauki i szybkości rozwoju nie tylko dorównuje innym miastom, lecz je niejednokrotnie wyprzedza.

Nie miejsce tu na dociekanie, co jest rezultatem ogólnego rozwoju cywilizacyjnego drugiej połowy XX wieku, a co wynikiem zmiany ustroju. Jedno jest pewne, że bez tego, co zapoczątkowane zostało w roku 1944 właśnie tu w Lublinie, nie do pomyślenia byłoby takie tempo rozwoju Kraju, jakie obserwujemy na przykładzie naszego miasta, miasta — siedziby PKWN i Rządu Tymczasowego w latach 1944—45.

## TADEUSZ JASIŃSKI

**P**OCHODZĘ z Pomorza, a tam wyzwolenie przyszło prawie o rok później, więc w obchodzonym właśnie trzydziestopięcioletniu uczestniczę krócej. Ileż spraw zdążyło się przetoczyć przez Lubelszczyznę w tych brakujących miesiącach, które mogły odcisnąć na mojej świadomości odmienny ślad? Każdy ma jednak inne zetknięcia i one bywają równie ważne, chociaż w zachłanności reporterskiej i pisarskiej pragnąłbym, aby zapisało się we mnie jedno i drugie, najlepiej wszystko, co było udziałem naszego narodu po 22 Lipca 1944 roku.

Gdyby jednak luty 1945 roku, miesiąc oswobodzenia rodzinnych stron, stać się miał graniczną linią moich przeżyć, to prawie siedemnaście lat upłynęło mi przed tą datą. Osobowość człowieka kształtuje się jednak przez cały czas — prawda to nienowa — więc i tamta data niech będzie tylko umowną.

Nie może jednak być tak rozumiana w sferze faktów i zdarzeń. Moja edukacja zakończyć się





Ireneusz J. Kamiński



Bronisław Kowalski



Zygmunt Mikulski



Maciej Podgórski

miała w dwuizbowej szkole powszechnej. I oto po przebytej wojnie pierwsze ustawy ustanawiają bezpłatną naukę w szkołach średnich i wyższych, a to otwierało świat dla mnie dla moich trzech braci i obu sióstr, dla wszystkich takich, jak my. Najlepsze nawet ustawy nie ścieliły jednak chłopskimi dziećmi drogi w powiatowym mieście. Dla nas najpilniejszą wiedzą, jaką musieliśmy zdobywać, okazała się ta z zakresu „zachowania się przy stole” i bynajmniej nie o Słotę tu tylko chodziło. Posługiwanie się nożem i widelcem było sprawą pilną, chodziło przecież o to, aby dać mniej powodów do drwin ze strony kolegów z inteligentkich, kupieckich, a nawet poobszarniczonych domów, w których od pokoleń stał fortepian, „posiadało się języki”, a sztuka przewrotnego posługiwania się słowem przyswajana była wraz z nauką mówienia. A ja, a tacy sami jak ja? — ci dojeżdżający z odległych wiosek wśród nich z gwara, z nieobyciem, topornym zachowaniem, bezbronni wobec ich agresji, zaszczuci, nekani fałszywymi wypowiedziami, obśmiewani na każdym kroku?! W dodatku nie a próbowani przez część nauczycieli gimnazjalnych, czekających na dzień zaważenia się nowego ustroju i powrotu dawnego, co najwyżej nieco zmodyfikowanego. Nie kryli się z tym nawet, swoje wątpliwe prawdy wygłaszali na lekcjach i uznawali je za obowiązujące w odpowiedziach.

Awans ten miał więc posmak gorzki, a zrodzona cierpkość mogła przerodzić się w nienawiść, której podporę dawało zespolenie z podobnymi sobie. ZHP już nie wystarczało, więc Organizacja Młodzieży TUR i Związek Młodzieży Polskiej. Najpewniej operowało się w ocenie otoczenia i zdarzeń — tych najbliższych, w kraju i świecie — kolorami czarnym i białym, a nadrzędnie tym, który ważny pozostał do dziś: czerwonym. Pośrednich rozróżnień trzeba się było uczyć dopiero później. Odcienie w barwach głównych, to była nowa sztuka, jakże trudna do opanowania po dzień współczesny.

Świadomie pomijam dotąd moje zamiłowania literackie i dziennikarskie, które zrodziły się w tamtych czasach, bo o tym trzeba by szeroko. Jednak to, co pisarz sam przeżył, co było lub jest jego udziałem, musi odcisnąć się nawet u kontrolującego się twórcy w utworach, personifikować się w niektórych jego bohaterach książek, zarówno w dosłowności obrazu, jak i w jego przeciwstawieniu. Zyciorys jest więc niejako kluczem dającym możliwość łatwiejszego odczytania. Powinno być ten klucz zatrzymać, nie ujawniać do jakich zamków może okazać się sposobny, ukryć głębiej, ale ma to być wypowiedź szczerą. Podobnie rzecz daje się przymierzyć także do publicystyki. Pierwsze lata powojenne odcisnęły się mocniej na moim rozumieniu współczesności niż ona sama, bo rzeczywistość dzisiejsza jest tylko dopowiedzeniem tamtego. Nie doraźna taktyka, która dyktuje chwila i potrzeby, ale ponadetapowa nadrzędność celów, partyjne pryncypia — przypomniane zresztą tak dobitnie na trzynastym plenum KC — stwarzające poczucie ciągłości i trwałości powojennego trzydziestopięcioletnia. Wszystko to nie pozwala zwątpić w najtrudniejszym, a stwarza pewność, że obrona przez polskie społeczeństwo przed laty droga jest jedynie słuszną i nie ma lepszej alternatywy w tej mierze.

Razi mnie, że spora liczba ludzi z tej samej warstwy chłopskiej, co ja — choć uzyskała wykształcenie, dobre zawody, sporą zasobność materialną, pewne znaczenie społecznie — nie utraciła tej dawnej pazerności, łapczywości, nawet, gdy urodziła się po wojnie i wiele było jej oszczędzone. Żąda więcej niż daje, a od chłopskiej przeszłości najchętniej odwróciłyby się plecami, aby zatrzeć ślad pochodzenia, którym powinna się szczyścić. Wiem, trzeba się częściej oglądać za siebie: nie, by pozostać w miejscu, ale aby pamiętać i nie stracić umiejętności porównywania i najprostszym nawet wyobraźni — jaki byłby los mój i takich jak ja, gdyby po tamtej granicznej dacie nowe nie zdołało się utwierdzić i utrzymać? Co mogłoby się stać i teraz, gdyby różni naprawiacze naszej rzeczywistości naprawdę znaleźli posłuch?

Moje prawa człowiecze spełniły się dopiero w naszym ustroju. Dlatego moja pamięć jest tak rozciąglą, nie chce niczego w tym rachunku pominać.

## MAREK ADAM JAWORSKI

**U**GORY: numery — Świadczenia, Dziennika; litera Księgi i „numer kolejny”. A sam, poźółki już, dokument z dużym napisem „Heroldya Królestwa Polskiego” głosi: *Zmocy Artykułów 51 i 60 Prawa o Szlachectwie w Królestwie Polskim zapadłego w roku 1836, rozpoznawszy dowody Pana Jaworskiego Wincentego, syna Jana, i uznawszy takowe za dostateczne na zasadzie decyzji Ogólnego Zebrania Departamentów Warszawskich Rządzącego Senatu z dnia 9 (21) Lutego roku 1856 opinią Heroldyi zatwierdzającej udziela niniejsze świadectwo jako Pan Jaworski Wincenty Teodor, herbu Kościerza, jest Szlachcicem Królestwa Polskiego wraz z potomstwem prawem płci obojga [...] oraz że posiadanie tego Stanu przez przodków od roku 1712 udowodnił... I dalej: Działo się to w Warszawie na posiedzeniu dnia 21 Czerwca (3 Lipca) 1856 roku. Podpisy: członka Rady Administracyjnej, Senatora i Tajnego Rady — nieczytelne.*

Sięgam do wspomnień ojca, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, z książki „Wywoływanie cieni”: *Mój pradziad Jan Jaworski [...] przeniósł się z zaboru austriackiego do Królestwa i został bibliotekarzem w ordynacji hr. Zamoyskiego. Dwa bracia pradziada pozostali w tym zaborze i jeden z jego bratanców, stryjeczny mego dziadka — Apolinary Jaworski był przez kilka lat prezesem Koła Polskiego w parlamencie austriackim i przez pewien czas zajmował wysokie stanowiska namiestnika Galicji. Oczywiście był konserwatystą...*

Dziadek mego ojca, czyli mój pradziadek, wspomniany wyżej Wincenty, zarządzał kluczem strzeleckim w ordynacji hr. Zamoyskiego. Jego z kolei syn, czyli mój dziadek, Edward, który zmarł 15 lat przed moim urodzeniem, wybrał zawód lekarza. Ojciec (1897—1973) wiadomo — pisarz, pedagog, założyciel „Kamery”, na której łamach w 1934 roku (10 nr.) stwierdził:

*Rozumiemy [...] dobrze społeczne podłoże literatury, związanej z życiem i operującej się na nim; zdajemy sobie sprawę z tego, że żyjemy w epoce przelomowej, w okresie heroicznej walki klasy robotniczej i włościańskiej o nowe oblicze świata zkonajacym, lecz złośliwym jeszcze kapitalizmem upostaciowanym w tym czy innym, jawnym czy zamaskowanym faszyzmie. I w tej walce stajemy bezwzględnie po lewej stronie barykady...*

Tę prawdę głosił ojciec i publicznie i prywatnie. Jako ojciec — pedagog wychowywał mnie tak, że po Lipcu 1944 roku nie przeżywałem żadnych rozterek, jak niektórzy — zwłaszcza nieco starsi — moi koledzy i od razu mogłem stanąć pod tej lewej stronie, wstępując jesienią tegoż roku do Związku Walki Młodych, a w pięć lat później do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

„35 lat i ja” — to hasło wywoławcze. „Ja” — więc osobiście. Kształcąc się na prawnika, już w pierwszym roku studiów na stałe związałem się z dziennikarstwem, choć bardzo niewiele brakowało, abym w 1948 roku nie znalazł się w Moskwie na wydziale reżyserskim szkoły filmowej. Ojciec był jednak przeciw, chyba z dość egoistycznych względów — wolał mnie mieć pod ręką, tu, w Lublinie. Nigdy nie żałowałem i nie żałuję, że mu uległem i gdyby czas mógł się cofnąć, wybrałbym ten sam zawód, na który czasami się narzeka, ale który potrafi dać tyle satysfakcji i zadowolenia.

Zaczytałem od reportera, później przez lata redagowałem w „Sztandarze Ludu” depesze, kierując, niejako „po drodze”, działem rolnym i miejskim, by wreszcie w 1957 roku wyładować w Szczecinie i sekretarzać w „Głosie Szczecińskim”. Z „Kamery”, przy której narodziłem się jako młody asystowałem, związałem się na stałe od 1965 roku.

Po doświadczeniach zdobytych w dziale depeszowym, pozostały mi do dzisiaj: szybkość podejmowania decyzji (choć to, co sprawdza się w dzienniku, nie zawsze sprawdza się w dwutygodniku) i zainteresowanie problematyką międzynarodową. Kiedyś próbowałem obliczyć: wydaje mi się, że w ciągu ćwierćwiecza jako lektor KW PZPR w Lublinie — Szczecinie — Lublinie miałem ponad 500 spotkań w różnych, bardzo różnych środowiskach. Mówiłem o współczesnym świecie, o stale wzrastającym autorytecie naszego kraju, którego bezpieczeństwo nigdy w historii nie były wsparte o tak potężne sojusze. Mówiłem o sprawach wielkich i sprawach małych, starając się o to, by argumenty trafiały do słuchaczy. I zawsze wydaje mi się, że udana prelekcja sprawia więcej zadowolenia niż celnie napisany artykuł, reportaż, bo w tym pierwszym wypadku reakcja jest bezpośrednia, natychmiastowa.

Nie lubię drętwej mowy, staram się rozmawiać ze wszystkimi, niezależnie od okoliczności, szczerze, może nawet zbyt szczerze, choć wiem, że w ten sposób mogę sobie tego czy tamtego zaciąć. Ostatecznie jest to jednak najmniejszy powód do żartowania.

I ciągle uważam, że w tych 35 latach mógłbym daleko więcej. Może warto było skoncentrować uwagę na jednej dziedzinie wiedzy, poznać ją dogłębnie, a nie — jak to się zwykło mówić — rozmięknąć się na drobne? Ale wówczas zapewne nie byłbym sobą...

Są sprawy, które mnie bawią, które stanowią dla mnie relaks. Dla relaksu też napisałem ostatnio dla młodzieży powieść, w której przeplatają się i własne wspomnienia z 1939 roku (w tym roku 40-lecie!) Dla relaksu współpracuję od czasu do czasu z „Karuzelą” i „Szpilkami”, dla relaksu wreszcie układałem kiedyś wiersze. Oczywiście lubię i inne relaksy, ale kto tych innych nie lubi...

I bardzo bawi mnie ów cytowany na wstępie dokument — relikwii epoki, która minęła bezpowrotnie. Gdyby ten dokument, jak i szereg innych, które przekreślił czas, obowiązywał dzisiaj, nigdy nie byłoby mnie na świecie. Dlaczego? No bo gdyby nie I wojna światowa, która obaliła na ziemiach polskich granice, moja matka, urodzona w zaborze austriackim, nie poznałaby mego ojca, mieszkającego w zaborze rosyjskim. Swoje istnienie zawdzięczał więc pośrednio strzałom w Sarajewie. I temu, co nastąpiło potem.

Ech, polskie losy! Ech, polskie drogi!

## IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

**M**INAŁEM czterdziestkę, włos mi rzędnie, zaczynam odwiedzać sanatoria, z wódek mogę pić już tylko czystą. Pracuję, dorabiam tu i ówdzie. Mam żonę i kilkunastoletniego syna oraz mieszkanie w bloku spółdzielczym trochę przyjaźliwym, więcej wrogów. Nie posiadam samochodu, ale może dochrapię się wkrótce czegoś takiego powszedniego. Coś mi się wydaje, że jestem przeciętnym obywatelem, choć jeszcze pięć — dziesięć lat temu uważałem się za indywidualność absolutnie i wytwornie wyjątkową, jak nie przymierzając młody poeta. Złośliwi twierdzą, że coś mi z tego do dziś zostało, ale niech tam, niech im Bóg odpuści.

Tymczasem społeczeństwo oczekuje ode mnie, jak od każdego dziennikarza, czegoś jakby szczególnego, ot choćby szerszej perspektywy postrzegania świata i poczucia odpowiedzialności za słowo. Faktycznie, pojeździłem co nieco po Europie, byłem w Moskwie i Leningradzie, w Hamburgu i w Bonn, lecz jedyny pożytek, jaki wyniosłem z tych podróży, to przekonanie, że nigdzie indziej poza Polską nie chciałbym i nie mógłbym żyć. Czesi mają więcej samochodów i dający podmiejskich, na Węgrzech w byle sklepiku

Dokończenie na str. 10

można kupić salami, w NRD panuje porządek i dość wysoka stopa życiowa, w RFN jest właściwie wszystko, łącznie z lewackimi symbolami, wymalowanymi na murach uniwersytetów. Tymczasem już po tygodniu takiej wizyty mam ochotę wracać do kraju, aby pogadać choćby z inżynierem Witoldem Wilkiem w Kraśniku, z Wincentym Piłtakiem w Hrubieszowie czy z Edwardem Mikołajczukiem w Białej Podlaskiej. Czy jest to tylko kwestia emocji, genetycznego programu, który niejako skazał mnie na polskość? Może, ale przypuszczam, że ciągnie mnie do kraju także i coś innego: to nasze przedziwne rozkołysanie narodowe, które umożliwia Polakom eksploatację energią twórczą budującą pejzaż gospodarczy i kulturowy obszaru między Odrą a Bugiem.

Mówi się że miast tego romantycznego rozkołysania przydałoby się nam więcej praktycznego myślenia w kategoriach pozytywistycznych, że to pierwsze niebezpiecznie ociera się czasami o bezholowe podczas gdy drugie zapewnia spokojny konsekwentny rozwój, racjonalność decyzji i sto innych wartości. Zgoda.

Warto jednak pamiętać, że z natury jesteśmy emocjonalni, a inkryminowane rozkołysanie jest także przejawem wartości szczególnie przez Polaków szanowanej i cenionej, budowanej krok po kroku, w dramatycznych nierzadko okolicznościach, przez cały okres istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a mianowicie: demokracji. Obok faktów materialnych jest to chyba największe osiągnięcie naszego społeczeństwa w minionych 34 latach Rzeczypospolitej, aby tę wartość, wymagającą jeszcze niewątpliwie strukturalnych uzupełnień, spożytkować dla dobra publicznego, wspierając się również na owych polskich emocjach.

Bo demokracja posiada dwie strony: jeśli nie towarzyszy jej zdolność do społecznej samooceny i rozwinięte poczucie odpowiedzialności publicznej za wspólne dobro, jeśli traktuje się ją jako poręczne narzędzie zlatwania egoistycznych interesów — przetrada się w ciężką chorobę, niszczącą organizm od wewnątrz i niejako automatycznie konstytuującą zagrożenie zewnętrzne.

Zauważyłem na wstępie, że czytelnik oczekuje od dziennikarza odpowiedzialności za słowo. Żeby krytyka była rzetelna, a gloryfikacja faktycznie uzasadniona, żeby niejako ple-ple nie zaciemniało realnych problemów. Drogi czytelniku: staram się pisać odpowiedzialnie, lecz nie jestem pewien, czy udaje mi się to w każdym przypadku. Sprawa jest zresztą tak skomplikowana, jak ewentualna twoja odpowiedź na takie moje pytanie: czy ty ze swej strony odpowiedzialnie formułujesz wymagania wobec prasy, czy cieszysz się tylko artykułami, które kwitujesz zdaniem: „Ale im dosunął!”?

## BRONISŁAW KOWALSKI

**N**IE mam wspomnień orderowych. Mam za to jedno, do którego sięgam z niechęcią, gdy sądzę, że się napracowałem, i z chęcią, gdy opuszcza mnie lenistwo. Było lato. Właśnie skończyłem pisać podanie o urlop i niostem je do sekretariatu, gdy na korytarzu redakcji spotkałem Romualda Karasia. Przyjechał z Warszawy, by swoim zwyczajem szukać dziennikarskich tematów w rodzinnych stronach.

— Co pan robi? — zapytał na powitanie.

— Właśnie wybieram się na urlop — odrzekłem. Romuald Karas skrzywił się z ironią lub może z niesmakiem i powiedział:

— Nie trzeba iść na urlop. Trzeba pracować.

Wówczas przyjąłem to za żart. Potem zdarzało mi się myśleć o jego słowach, że to demagogiczne hasło. Dopiero niedawno, choć spotkanie owo miało miejsce ponad dwa lata temu, pomyślałem sobie: Czy nie miał on racji? Czy to na pewno był żart?

Namawianie do pracy nikogo namawianego nie raduje. Bo w końcu co to oznacza: praca?

Ongiś odwiedził mnie dawno nie widziany przyjaciel ze studenckich czasów i zapytał:

— Gdzie pracujesz?

Było to pytanie zwyczajne, bo po studiach każdy szukał sobie miejsca z etatem i pensją. Więc zwyczajnie mu odpowiedziałem. Lecz przyjaciel zadał następne pytanie:

— A co robisz?

Odpowiedziałem mu w krótkich słowach, lecz przyjaciel nie był zadowolony z odpowiedzi.

— Nie pytam ciebie — mówił — jak pracujesz, tylko co robisz? Co robisz ważnego? Bo pracuje każdy z nas.

Spotkaliśmy się po kilku latach i przypomniałem mu tę rozmowę. Zapytałem go podobnie, jak ongiś on mnie. I miałem satysfakcję, gdy zobaczyłem jego zakłopotanie. Pracuje solidnie, okazało się, ma solidne zarobki i robi solidne zakupy za te zarobki, ale na drugą część pytania odpowiedział z trudem.

Potem poszliśmy na jednego głębszego — raz na parę lat można przecieć. Było pierwszego listopada. Szliśmy przez miasto. I nagle przyjaciel — a rzecz działała się w stolicy — rozrzewnił się pod pomnikiem pamięci bojowników Powstania Warszawskiego. Planęły znicze, jak wszędzie w miejscach pamięci w stolicy i w całym kraju. Przyjaciel bkał:

— Popatrz, oni szli i ginęli. Tyle mieli lat, co my. Ale szli. A my jesteśmy co? Chłani, błota.

Wtedy się wściekłem na przyjaciela. Wściekłem się tak, że z wielkim trudem przyszło nam nie pogniawać się raz na zawsze. Nie pogniwaliśmy się. Jesteśmy nadal przyjaciółmi.

## ZYGMUNT MIKULSKI

**J**UZ nie pamiętam kto jednego z pierwszych dni po wyzwoleniu rzucił: „Patrzcie i zapamiętajcie, młodzi, to już historia”. Odnosiło się to również do mnie. Miałem zawsze dwójkę z historii i to by wystarczyło, żeby wezwanie przyjąć chłodno, ale powód był inny i ciągle narastająca teraźniejszość. W tym wieku nie myśli się o niej jako o czymś, co przyjdzie wspominać. Nawet nie przypuszczałem, że te dni tak się zapiszą w mojej pamięci. Mam oczywiście na myśli nie ich znaczenie ogólnonarodowe.

A więc te trzydzieści pięć lat — jak kiedyś trzydzieści, jak kiedyś dwadzieścia — każą cofnąć się świadomością do początku. Dla mnie był osobliwy przez nieoczekiwane pojawienie się pisarzy, z których nazwiskami spotykałem się pu-

cej dziur w zelówkach niż pozytyku dla redakcji, tu od pomnika Czechowicza odchodzę do zeszytu zapisanego jego wierszami.

A co charakterystyczne w ciągu tych trzydziestu pięciu dla nas wszystkich? Pośpiech. Polacy żyją w biegu. Owszem, można powiedzieć, że i do Fiata i do kiosku Toto-lotka, ale niezaprzeczalne jest, że tempo przemian zachodzących w świecie nie spotyka nas biernymi. Dolożyć tylko starań, by przez ten wysiłek, przez to podanie na przód ustąpiły odczuwane jeszcze tu i tam nieborności wspólnego działania. Żeby... Ale obawiam się, że nie uniknę sloganu. Więc może lepiej życzenia.

Memu miastu pomysłowości, rozwoju, coraz jaśniejszych dni. Czyli wyłaził ze mnie egoista. Przecież w ten sposób życzę i sobie.

## MACIEJ PODGÓRSKI

**O**GOLNE hasło, pod którego wezwaniem mają zmieścić się poniższe refleksje, zostawia sporo swobody, aczkolwiek nie zezwala na wolną amerykańską dziennikarską, jakiej czasami człowiekowi się zachciewa.



przednio tylko na tytułowych kartach książek. Można sobie wyobrazić co za euforia. Tak dzieci witają pierwszy śnieg. Ale tychże pisarzy wygląd zewnętrzny nie zgadzał się z wrażeniami wyniesionymi z lektur. Gdybym poprzednio miał wykonać imaginacyjny portret dajmy na to autora „Mitów rodzinnych”, niewiele miałby on wspólnego z rzeczywistą postacią Adama Ważyka. Dodatkowa atrakcja. Każdemu chciało się powiedzieć: proszę pana, pan jest inny.

Później powstał Klub Literacki „Odrodzenia”. Nazwa to nie zupełnie trafna, należałoby to raczej nazwać czytelnictwem. Wpłacało się jakąś kwotę i co pewien czas otrzymywało powieść. Pamiętam Dygata „Pożegnanie”, Kapijewa „Poezę” i Vaillanda „Dziwną zabawę”. Jak dziś przyjąłbym te dzieła? Trudno powiedzieć, a ponowna lektura wobec nawału aktualności raczej nie wchodzi w rachubę. Zresztą obawiam się rozczarowania, którego zresztą doświadczam prawie zawsze, kiedy czytam utwór po raz drugi. Nie każdy jest taki, że każdorazowa jego lektura jest lekturą pierwszą. Co niech mi nie będzie poczytane za votum nieufności wobec wymienionych autorów. Dygat jest jednym z moich pisarzy i jego naturalność, prawdziwość, antypozerstwo uważam za rzadkie zjawisko wśród ludzi pióra, z których jedni uważali się za wyłącznych wyrazieli nowych idei, drudzy awangardowymi mistyfikacjami przesłaniają niemożność wyrażenia czegokolwiek.

Sam Lublin ruszył dość późno. Wprawdzie energicznie działał prowadzony przez Juliusza Kleina Klub Literacki, ale było to przedłużenie ożywienia zapoczątkowanego „stolecznością” i po wyjeździe profesora napięcie wyraźnie spadło. No, jakieś kolumny literackie w „Gazecie Lubelskiej”, heroicznie przez Józefa Nikodema Kłosowskiego animowany „Zdrój”, ale już zaczął się odpływ utalentowanych ludzi do Łodzi i Warszawy. Nawet rdzennych lublinian. Tylko niektórzy z nich dokumentują swój nadbrzystrzycki rodowód piarstwem i przyjazdami.

Późno też poznałem się z Bielskim. Mam na myśli znajomość bliską, a „bruderszaftem”, z rozmowami na temat tej najważniejszej sprawy, jaką jest układanie słów do rymu. Co za fenomenalna pamięć! Dzięki niej na całym obszarze literatury Bielski znajdował się jak w swoim pokoju z barkiem, pod ulubioną ontarsją z pieśnią, która teraz wisi w lokalu ZLP. Mnie, starego paseistę, dodatkowo ciągnęła do niego jego znajomość spraw przeszłych Lublina. Czytał współczesnych dużo, mógłby z pamięci wyrecytować małą bibliografię literacką, ale ułtowianiem tkwił przy poezji i poetyce swojej młodości, a jego „Dytiramb szatański” był żelaznym punktem w programie każdego sympozjonu. On i Gralewski — to właśnie owo tak dla mnie atrakcyjne retro, które później weszło w modę — dodajmy — nie bez związku z poczuciem niedosytu treści niesionych przez współczesność. Niesprawiedliwa biologia nie dorzuciła im choćby po dziesiątce, by przynajmniej dokończyli zaczęta przez siebie legendę. Oczywiście dzisiejszy dwudziestolatek ani miarkuje nad czym ja mianowicie wyciągam gorzkie żale.

Ale czy to naprawdę minęło trzydzieści pięć lat? Czasem trudno mi się dogadać z zegarkiem, a już kalendarz to zupełna abrakadabra. Proszę państwa, ja się nie przyzwyczaiłem jeszcze do ulicy Peowiaków (obecnie Pstrowskiego). Dla mnie to wciąż jeszcze ta bardzo dawna Szpitalna. Więc te trzydzieści pięć wcale mi się nie układają według lat. Układają się według ulic, twarzy, spotkań, radości, zachwyty i zniecierpliwień. Mam tu kilka zadawnionych, nieuleczalnych przyjaźni, kilka przegranych w szachy, kilka nadziei, że się jeszcze mogą do czegoś przydać, które mi lobb- by bessenwiserów usilnie stara się rozwiać. Chodząc po Lublinie czytam swój życiorys. Tu mnie nieopatrznie przyjęto do dziennikarstwa, stąd startowałem w ten i ów reportaż przywołując wię-

Od dłuższego czasu, dla przykładu, nawiedza mnie sprawa, z którą w natłoku prac codziennych jakoś nie miałem okazji rozliczyć się drukiem. Różni specjaliści od dusz ludzkich powtarzają: POZNAJ SIEBIE I BĄDŹ SOBĄ! Powstało pytanie, jak wyglądałoby życie jakiegos Maliniaka, bluszczowatego gówniarza i paskudnika, gdyby on postanowił być sobą? Oto ewentualny początek żartobliwego eseju:

Maliniak przeczytał w „Forum”: „Jeśli żyje się spokojnie, czy nawet po prostu codziennie spokojnie siada na godzinę, stopniowo odkrywa się własny rytm. Ale większość z nas tego nie robi, a to niezdrowo, i duchowo, i fizycznie. Ważne jest to, by inni ludzie, inne sytuacje, warunki czy okoliczności nie zakłóciły zanadto tego rytmu”. Podpisano: Ingmar Bergman.

Z wieczora Maliniak siadł spokojnie na godzinę, a następnie nocą zakradł się do kuchni i wypił wszystkie sok z ogórków konserwowych, który wprost uwielbiał. Żona rano zrobiła raban:

— Znowu wychłabił sok!

— Nie znowu, ponieważ dotąd wypijałem ze świadomością zbrodni domowej, a od dziś będę to robił jako zadośćuczynienie własnemu rytmowi. I proszę mi nie zakłócać mojego rytmu.

— Zamiast jakimś rytmem zająłbyś się lepiej domem i mną — odpowiedziała żona.

— Nudzą mnie już te małżeńskie karesy, interesują mnie wyłącznie siostry Kesier, obie na raz, i to w samych północach — rzekł Maliniak zgodnie ze swoim rytmem i natychmiast dostał w mordę.

Gdyby Maliniak, ufając zapewnieniom o rytmie zmierzchu epoki Gutenberga nie czytał „Forum”, a poznawał świat wyłącznie dzięki Telewizji Polskiej, nie byłoby żadnego kłopotu z Maliniakiem...

Takich pomysłów pisarskich na różne ważne, ale nieco oderwane, tematy mam sporo, ale coż...

U progu 35-lecia PRL zaliczyłem swoje czterdziestolecie. I pamiętam warszawskie czasy mego chłopięstwa, kiedy za trampkami była większa kolejka niż za kiełbasą, zaś skarpetki elastyczne, drogie jak cholera, kupowało się wyłącznie w komisie. Po stolicy jeździły wtedy głównie samochody marki DKW, zwane: Dykta, Klej, Woda, przedmiot pożądaną zresztą, a spacerowali grupowo budowniczo, rozsiewający intensywny zapach wody kwiatowej.

Od tamtego czasu — jak powiada satyryk ze „Szpilek” — widziałem różne przełomy, w tym jeden Dunajca. I normalnie: skończyłem studia (w Lublinie polonistyczne), ożeniłem się, mam córkę, która jest bardzo ważna w moim życiu nerwowym. Z pracy naukowej przeszedłem do dziennikarstwa, czego nie żałuję, bo dziennikarstwo też bardzo ważna sprawa, jeśli ma warunki, żeby coś zmieniać. W tak zwanym międzyczasie przestałem wierzyć w moce i posłannictwa literatury, co ostatnio nie wydaje mi się już takie śmieszne.

Były jakieś nagrody dziennikarskie, jakieś przyznawane książkowe, z których może coś wyjdzie, było nawet odznaczenie ostatnio. Nigdy nie umiałem splamić się tekstem poniżej pewnego poziomu uczciwości i sprawności warsztatowej. W tym sensie wydaje mi się, że usiłowałem dobrze pracować aczkolwiek wydaje mi się też, że sama dobra praca nie wystarcza, trzeba robić jeszcze coś więcej...

Nabawiłem się małego fiata, który — jak pisze Sobiesław Zasada — „mieści się w granicach wyobraźni średnio zarabiającego obywatela”. I lubię swój samochód. A pieniądze? „Pieniądzy, podobnie jak prestiżu, nigdy nie zdobywa się parforce. Pieniądz to produkt uboczny jakiegos celu względnie wyniku, do którego dąży się i który osiąga się dla niego samego” — powiada Robert Townsend, spec od organizacji. I dopiero dając do takiego celu, człowiek staje się sobą — do- dałbym.

## WSPOMNIENIE

**S**JEDZIELISMY za wielkim stołem z ciemnego drewna. Dzieliła nas plama grubego lnu, puste krzesła, wąskie pasmo mroku i rozbieżność odczuwania. Dzielili nas wiek i niezdolność dążeń. Ale w tym łagodnym kregu rozlanym na serwie między naszymi głowami kryła się jedność i wydawało nam się, że nie nas, ale dzieli. Ze wszystkich dni, w których nasza inność szczyrzyła na nas zęby z zasnionej deszczem ulicy, z brudnego korytarza pachnącego lizolem, z żarówką ostrzonej przez muchy, z rozkopanej ziemi pełnej dżdżownic i mrówek, a nawet z wielu innych dobrze oświetlonych miejsc, w tym jednym dniu wydawało nam się, że już nie nas nie dzieli. Ten okrąg nieruchomej jasności dawał nam ciepło i pojednanie.

Przyjechała na mały, brudny, okopcony dworzec. Wielki, czarny kadłub lokomotywy wcisnął się z trudem w lepkie, zamglone powietrze, pełne drobnych płatków śniegu wirujących bezsensownie w mroku. Potem wynurzyły się wolno wagony z kwadratami zaryglowanych okien i ludzie zaczęli wysypywać się z rozchylnych drzwi, a ich kroki zatrzeszczały na mokrym żwirze. Ich cienie lały się z innymi, stojącymi na peronie, albo chowały się pospiesznie w rozjarzonym jasnością budynku, którego chropowata, brudno-kremowa ścianę czułem za plecami. Zobaczyłem jej jasne włosy i wiśniowy płaszcz z kapturem i grube paczki przedłużające jej ramiona, kiedy już była blisko mnie, niespokojna i niezdecydowana. Jej usta były wilgotne jak cały ten dzień i nieprzyjemne, chociaż czekałem na nią wiele dni pełen niecierpliwości.

— Jesteś — powiedziałem bezsensownie i zabrałem ciężar z jej rąk i wyszliśmy na mały plac, po którym walały się przemy brudnego śniegu i niespokojne sylwetki ludzi. Myślałem o tym, że jesień i deszcz i mokra rozkłada zima jakgdyby cofały świat w rozwoju.

Szliśmy długą aleją, przy której stały w równych odstępach wysokie, bezlistne topole, a za małymi kwadratami światła, które mijaliśmy, babki i matki, plekły świąteczne ciasto. Jego słodkawo-ostry zapach docierał do nas chwilami i wtedy nasze myśli rozsypywały się jak rozdmuchane strzępy kurzu.

— Myślałem, że nie dojadę — powiedziała. — Nie jestem dobra do podróży. Nie jestem dobra do jazdy przez wiele godzin i na jednym miejscu. Ten pościąg był wolny jak zółw i zatrzymywał się przy każdym moim westchnieniu.

— Balem się, że możesz nie przyjechać — powiedziałem — że może znowu zmienić się w tobie coś. Na tej ulicy kiedyś bardzo się balem.

— Czy to daleko stąd? — zapytała. — Chciałabym już pić mocną herbatę, z soczystym, gorzkim wnętrzem cytryny wykrojonym ostrym nożem, jak serce. Uśmiechnąłem się.

— Przywiozłam ciasto — powiedziała — i parę innych rzeczy.

— Na tej ulicy kiedyś bardzo się balem — powiedziałem. — Szedłem wcześniej rano na pościąg. To było lato. Mgła była mniej lepka i wilgotna niż dzisiaj, ale tak gesta, że nie mogłem widzieć czubka własnego nosa. Bardziej czułem nawet niż usłyszałem, że ktoś maszeruje wprost na mnie. Maszeruje, może to złe słowo, skrada się ku mnie, ale na wprost, jakby chciał mnie obejrzyć. Z mgły wynurzyła się wielka głowa. Grube kreski spulchniały jej twarz i rozszerzały usta i oczy. Włosy miała tłuste i poskręcane w bezładzie loki. Najwyraźniej widziałem jej palce, którymi szukała mojej twarzy. Szła na mnie naj-

prawdziwsza pijana dziewczka, a ja myślałem, że szło na mnie przeznaczenie.

— To nawet dobrze, że jest stąd daleko. Mogłabym teraz iść i iść — powiedziała.

Siedzieliśmy za wielkim stołem z ciemnego drewna. Biały len budził pragnienie swoją szorstkością, a wielki stojący zegar odmierzał nasze myśli. Kiedyś wokół tego stołu siadywało wielu ludzi i siadywał on, człowiek, którego istnienie ukształtowało ten dom i do pewnego stopnia ukształtowało także mnie. Widziałem w półmroku jej ręce splecione na stole w gestie pełnym oczekiwania i niepokoju. Za oknami sypał śnieg grubymi płatami i widziałem, jak polyskuje pod latarnią. Wynurzał się z ciemności i gasł w ciemności jak przemijanie. Nad naszymi głowami szurały czyjeś nogi o sufit, a czasami nasze okno mijaly krótkie głosy.

— Ten rok może nie być dobry — powiedziała. — Może być smutny i pusty, ale dobrze, że tu jestem.

Szklano-matowe drzwi odgradzały nas od reszty domu i odgradzały nas od tych białych łóżek, na których leżaliśmy poprzedniej nocy kochając się i myśląc i mówiąc szeptem dopóki nie zobaczyłem jak płacze. Usnęła potem obejmując mnie ręką, a jej dźwięk zmniejszał się w miarę jak odchodziła w sen, aż zupełnie przestałem go odczuwać i wtedy wiedziałem, że śpi.

— Ten rok będzie dobry, jeśli tylko będziemy razem — powiedziałem.

Może to irytacja, a może nie, kazała jej się podnieść. Teraz starannie zasłania zaslonki, by odgradzić nas od nocy, a ja patrzę na jej wąskie plecy i czuję pragnienie tak przemożne, że bliskie bólu. Ale to mija.

Poszliśmy do kuchni. Białe sprzęty zawsze przywracały równowagę memu odczuwaniu. Nasze zapasy zgromadziliśmy na wysokim stole nakrytym niebieską serwetą i teraz niesieme je w dłoniach na ten wielki, już niepusty stół, na którym będziemy spożywać nasze pragnienia i to, co pozostawili w nas z takich chwil lata, które już odeszły.

— Kiedyś w takie dni nie miałem ciebie — powiedziałem.

— Już wszystko przeniesiłem — powiedziała. — Jestem głodna.

— Zawsze kiedy pracuję jestem głodny. Praca pobudza mój apetyt, jak dobre powietrze.

Popatrzyłem jak uśmiechają się do mnie jej oczy. I przypomniałem sobie jak kiedyś z Anną chodziliśmy po obcym mieście. Zagladaliśmy do małych sklepików, pełnych żelastwa i zapachu skór i do wielkich sklepów, pełnych obcego światła i zapachu potu. Na rogu ulicy dziewczyna sprzedawała kwiaty. Długie paski światła rozehylały jej włosy i otaczały drobną, chudą twarz, rzucając cień na wielkie zdziwione oczy. Kwiaty chwilały się na wysokich lodygach bezosobowe, wyzute z zapachu i inności, tak jak tłum podrywających ciał na wąskich chodnikach. Z plizerki dobiegł nas zapach prażonego ciasta, czerwonego wina i śmiech. Kiedy staliśmy przed wielką, kolorową wystawą, pełną niklu i lakieru, powiedziała dotykając mojej ręki:

— Myślę, że kiedyś będę szukać miejsc. Będę szukać miejsc, w których byliśmy razem.

— Może — powiedziałem.

To wspomnienie przyszło do mnie z uśmiechem Anny. Może dlatego, że była w nim odrobina ironii i smutku. A może dlatego, że wspomnienia przychodzą do nas nagle, przywołane gestem ręki i skrzywieniem twarzy i motylem uspięnym na framadze drzwi i są tak samo mało ważne, jak cała przeszłość. Przy-

chodzą bezsensownie i bezcelowo. Kiedyś myślałem, że wspomnienia mogą przynieść ulgę i że układają się w zasadniczą ciągłość, z której wypływa prawda. Dużo czasu zabrało mi odkrycie tego bluffu.

Siedzieliśmy za wielkim stołem z ciemnego drewna. Teraz widziałem jej głowę, jeśli podniosłem oczy nad nierównymi kształtami półmisek i stertami potraw i między ramionami dużego licharza, w którym płonęły dwie wysokie świece wypływając wosk. Jedliśmy.

— Kiedyś mówiłeś, że jak chciałbyś mnie mieć, że chciałbyś mnie mieć w wielkim pustym domu, w ważny dzień, w ciszy i odosobnieniu, mieć tylko mnie i nie bać się. Czy nie boisz się teraz?

— Zawsze się balem, ale dopóki o tym nie wspomnieliśmy nie balem się teraz.



Rys. E. Ingłot

— A czy jesteś szczęśliwy? — Jestem szczęśliwy, ale inaczej niż myślałem. Cześć jeszcze ryby?

— Dziękuję. Myślę teraz o moich. Pewnie brak im mnie. Pewnie siedzą teraz za wielkim białym stołem i mówią o mnie, lub o mnie myślą, gdy mówią o czym innym. Dlaczego człowiek musi dzielić miłość?

— Ja nie muszę. Przynajmniej nie tak. Nie mam żadnych „swoich”. Może dlatego kocham cię tak bardzo.

— Czasami boję się, kochasz mnie za bardzo, ale teraz czuję się bezpieczna. Czy miłość może być zbyt wielka?

— Myślę, że jeśli jest, jest niedobra. Zawsze jakaś część winna należeć tylko do nas.

— Czy myślisz, że nasza miłość jest dobra?

— Myślę, że nasza miłość jest wspaniała.

— Kiedy byłam mała, całe te święta przenosiły mnie gdzieś daleko. Czulałam się wtedy tak jakbym przez jeden dzień żyła w dawnych, dawnych czasach, gdzie wszystko jest lepsze według wyobrażeń każdego z nas. (Myślę, że to dziedzictwo bajek). Albo jakbym długo słuchała muzyki. Takiej dobrej, spokojnej i kojącej. Dlaczego już nie czuję tego tak? Kiedyś myślałam, że te święta są jak wyciągnięcie ręki po jabłko: czerwone, duże i soczyste.

— Każdy z nas myślał kiedyś tak, nawet jeśli teraz o tym nie wie.

Umoczyłem usta w ciepłym winie i dopiero po chwili zrozumiałem, że jest dobre.

— Wczorajem, po tym wszystkim będąc z tobą tańczyć — powiedziała.

— Tak. Będziemy tańczyć — powiedziałem — i bardzo tego chcę.

Spaliśmy się w pomarańczowym kregu światła. Nigdy nie tańczyłem dobrze i nigdy tego nie pragnąłem. Ale kiedy tańczyłem, lubilem to robić. To było tak, jak czasami z moim pisanem. Kiedy długo nie pisałem, bardzo chciałem to zrobić i robiąc to czułem jak wspaniale jest to robić, bez względu na to, czy ono samo było dobre. Trzymając ją teraz w ramionach, pamiętałem szkolne potańcówki na wysmolowanej podłodze, w zapachu tanich perfum, który nosiłem potem nocą do domu najstaranniej, jak prawdziwy skarb. Wokół nas ludzie uśmiechali się do siebie i wypowiadali uroczyste słowa, przytuleni głowami głowa przy głowie. Z sufitu wieszkał się marszczony papier i pulchne balony, a dym z papierosów wiał się niespokojny-

mi kłębami pod baniającą lampą, jedyną, jaka jeszcze pozostała zapalona.

— Czy pamiętasz, jak tańczyliśmy w „Grocie”, wtedy, kiedy przyszli do nas Markowie? — zapytałem Anny.

— Tak. Wtedy ci powiedziałam, że jesteś jak dobre, krótkie przebudzenie w jasny, wiosenny dzień.

— Wtedy powiedzieliśmy sobie mnóstwo rzeczy.

Siedzieliśmy za wielkim stołem z ciemnego drewna. Byliśmy syści. Może z faktu fizycznego zaspokojenia wynikało nasze poczucie bezpieczeństwa. Może nawet ono było źródłem naszej jedności. Zauważyliśmy na początku, że idąc ze stacji do domu i potem, nasze myśli błądziły wokół innych spraw, a nasze słowa brzmiały odmiennie. Byliśmy jakby ukryci za szklanymi powłokami, które nie pozwalały nam do siebie dotrzeć. Widzieliśmy swoje wnętrza, ale nie mogliśmy ich dotknąć. Nasze próby zostawiały tylko na szkle rysy, może ważne, ale ani bolesne, ani przyjemne. Po prostu nijakie. Teraz w tym domu w którym podzieliiliśmy między siebie ten doroczny dzień, nasze słowa docierały do naszego uczucia, jak wtedy gdy mówiliśmy o naszej miłości. Może dlatego ten wieczór nie był pusty, chociaż tylko dwoje ludzi rzadko może wypełnić pustkę. Na stole zostały jeszcze resztki jedzenia i trochę wina, które przybrało złoty kolor od blasku świec, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i z niechęcią wysłuchałem niskiego, dziewczęcego głosu, który powiedział „Halo”.

— Halo — powiedziałem.

— Teraz smażę konfitury — powiedziała.

Opanowała mnie radość i doznałem uczucia ulgi.

— Teraz — powiedziałem — W taki dzień?

— Tak. Pomyślałam, że teraz może to zrobić, bo muszę to zrobić kiedyś. Albo czy to nie pomyłka? — zapytała.

— Tak. To pomyłka — powiedziałem.

Położyłem słuchawkę na widelkach najdelikatniej jak potrafiłem. Anna stała obok mnie. Wzięła moją rękę w swoją ciepłą dłoń. Dotknąłem jej włosów i pocałowaliśmy się. Potem nastawiliśmy muzykę i tańczyliśmy długo, aż rozbiłały nas nogi i zachciało nam się palić.

Siedzieliśmy za wielkim stołem z ciemnego drewna. Na środku białła się okrągła wyszywana serwetka. Biały len budził pragnienie szorstkością, a wielki stojący zegar odmierzał nasze myśli. Wciągnęliśmy głęboko dym i patrzyliśmy na siebie, pełni ufności i spokoju. Za oknem znowu przemycikały głosy i szleściły kroki i wtedy mi powiedziała:

— Wiesz, bardzo pragnęłam, żeby to było właśnie takie.

— Jakie to było? Jaki był ten dzień? — zapytałem.

— Nie wiem, ale był na pewno taki, jak chciałam.

Pospiesznie ślaliśmy dwa wielkie białe łoża w pokoju za matową szybą. Dotknięcie szorstkiej pościeli było przez moment jak dotknięcie śmierci. Drżeliśmy długą chwilę przytuleni do siebie dopóki nie opanowało nas ciepło.

— Zawsze będę cię kochać — powiedziała.

Odjechała z małego, brudnego, okopconego dworca. Wielki, czarny kadłub lokomotywy wcisnął się z trudem w lepkie, zamglone powietrze, pełne drobnych płatków śniegu wirujących bezsensownie w mroku. Potem wynurzyły się wolno wagony z kwadratami zaryglowanych okien i ludzie zaczęli się wysypywać z rozchybotanych drzwi, a ich kroki zatrzeszczały na mokrym żwirze. Ich cienie lały się z innymi, stojącymi na peronie, albo chowały się pospiesznie w rozjarzonym jasnością budynku, którego chropowata, brudno-kremowa ścianę czułem za plecami. Zobaczyłem jeszcze jej jasne włosy i wiśniowy płaszcz z kapturem, kiedy była już daleko ode mnie, na brudnych metalowych stopniach wagonu, niespokojna i niezdecydowana.

W miesiąc później już nie byliśmy razem i chociaż wspomnienia nie układają się w zasadniczą ciągłość, z której wypływa prawda, opowiedziałem wam jak to było.

# Z POWODU DWOCH „CUDZOZIEMEK”

Maria Bechcyc-Rudnicka

**W** MOJEJ osobistej świadomości spór o rację bytu teatralizacji powieści datuje się ściśle od roku 1910, kiedy to Moskiewski Teatr Artystyczny, w potocznej mowie — teatr Stanisławskiego, wystawił „Braci Karamazow” w adaptacji i reżyserii Niemirowicza-Danczenki. Albowiem zaledwie zdążyło wziąć dzieło na warsztat, jak już prasę moskiewską zalała fala oburzenia. Cóż za czelność! Nikt do tej pory nie targnął się na arcydzieło Dostojewskiego. Padło słowo „wandalizm”.

Spektakle położyły kres pomawianiu o „świętokradztwo”. Na, ale też była to istna uczta artystyczna.

Doładniej mówiąc — dwie uczty, bo całość inscenizacji oglądało się przez dwa wieczory. Spektakl pierwszy rozpoczął się przyjsciem Ałoszy do starego Karamazowa, akcja drugiego toczyła się od sceny „W Mokrym” do „Sądu”. Wieczór drugi był szczególnie wstrząsający.

Będąc podówczas studentką petersburską, miałam sposobność widzieć spektakle teatru Stanisławskiego, gdy zjeżdżał do stolicy i śmiać mi się chce dzisiaj na myśl, że gdyby pokazano obecnie ową inscenizację Niemirowicza-Danczenki sprzed blisko lat siedemdziesięciu wypadłoby ją ocenić bez wahania jako całkowicie nam współczesną.

Przed wszystkim wprowadzono do niej (po raz pierwszy w historii teatru) narratorkę, a właściwie „lektorkę”, dla którego wydzieliło się w jednym z rogów pudła scenicznego zaciemnioną niszę. Światło padało jedynie na stół, twarz czytającego majaczącego w mroku. Wszystkie sceny rozgrywały się na zielonkawym tle nagiej ściany, tylko sprzęty, bardzo nieliczne, określały miejsce akcji. Skoro miała toczyć się w plenerze, spotęgowane promienie reflektorów przemieniały tę samą bladzieloną ścianę w wołą okolicę, a miejsce dziania się markował był fragment płotki, brama, samotne drzewko... Tak, niejedyn nasz „nowatorski” pomysł inscenizacyjny ma przylgę do budo.

Wytrawniejszy mój czytelnik może się domyślić, że nie dla dogadania sobie wspominkami rozwodzę się tutaj nad ową niegdysiejszą inscenizację. Ależ oczywiście czynię to nie bez kozery. Rzecz w tym, że była ona istotnie awangardowa, prekursorska pod względem formalnym, a przede wszystkim twórcza, w przeciwieństwie do praktyk dzisiejszych, zachować zarazem wzorową lojalność w stosunku do nieżyjącego już wielkiego powieściopisarza. I dzięki temu pięknemu wzorowi, poznanemu w młodości, nie stałam się pryncypialnym, apriorycznym wrogiem przyspasabiania powieści do potrzeb scenicznych, choć dalebóg czasy późniejsze nie skąpiły okazji do słusznych rankorów.

Od połowy bodaj lat 60-tych rozgorzała u nas zażarta dyskusja na temat zasadności tudzież „legalności” traktowania różnych rodzajów literackich bądź materiałów dziennikarskich czy epistolarnych jako tworzywa dramaturgicznego. Obecnie żyjemy już w erze „przyspasabiaczy”. Adaptacje „opracowania”, aranżacje wszelkiego rodzaju, parafrazy — mnożą się z niepokojującą żywiołowością. Wylansowano niejako imperatyw całkowitego uniezależnienia dzieła teatralnego od jego literackiego źródła (konkretny przykład — nagrodzone widowisko Jerzego Grzegorzewskiego wywodzące się ze znakomitej opowieści Różewicza „Śmierć w starych dekoracjach”). Teoria ta intymiduje nie tylko część krytyków teatralnych, ale już i historyków litera-

tury, którzy myśleliby inaczej. Słowem, stanęliśmy przed faktem dokonanym „wolnych” adaptacji. Wszystkie argumenty za i przeciw wyczerpano w wygasającej dyskusji. Pozostają jedynie pytania:

CO? — JAK? — PO CO?

Z tego więc punktu widzenia oceniam dwie adaptacje „Cudzoziemek”, które oglądałam niedawno — w Lublinie i poza nim.

I tu wypadnie zacząć od nadspodziewanego stwierdzenia, że w odrozdzeniu od wielu innych wybitnych powieści ta właśnie powieść Marii Kuncewiczowej może być przysposobiona do użytku w teatrze bez znacznego uszczerbku dla jej walorów literackich.

Może — pod warunkiem, że zabieg będzie przeprowadzony środkami stosowanymi przy tworzeniu monodramu.

Tę *conditio sine qua non* szczęściem dostrzegła Anna Lutosławska opracowując swoją wersję sceniczną „Cudzoziemek” dla „Miniatury”, sceny filialnej Teatru im. J. Słowackiego.

Bo czymże jest to nadal pozostaje „Cudzoziemka”, napisana w roku 1934, jak nie unikalnym i prekursorskim w literaturze polskiej studium przede wszystkim jej jednego charakteru kobiety, któremu wszystko inne w powieści zostało rzecz można podporządkowane? Chyba i w skali światowej zespół cech charakterologicznych bohaterki Kuncewiczowej może być uważany za nader oryginalny.

W jednej z recenzji towarzyszących krakowskiej prapremierze wzywano nadaremnie imię Sartre’a. Co do mnie, zaryzykowałabym raczej szukanie paranteli u Joyce’a, którego „Ulysses” został opublikowany w 1922 r., a sztuka „Exiles” powstała w r. 1915. Ci bowiem, co znają „Wygnańców” z lektury lub ze spektaklu Jerzego Grudy w warszawskiej TV, 1961 r., bądź ostatecznie z przedstawienia lubelskiego Teatru im. J. Osterwy (r. 1963), wiedzą przede wszystkim, że Rowan (czytaj: James Joyce) cierpiał na osobliwy kompleks, stanowiący emocjonalne podłoże jego postępków. Był to kompleks wygnania. Wygnania z ojczyzny (Irlandii, którą zresztą sam dobrowolnie opuścił) i z serca (serca pobożnej matki, z którą poróżnił się syn niewierzący).

Czy nie nasuwają się tu istotnie kuszące analogie? Różę — „cudzoziemkę” wszakże również nęka przez całe życie kompleks „wygnania”: primo — z miasta rodzinnego, w którym przeżyła szczęśliwe dzieciństwo secundo — z kraju ojców, męczenników za sprawę polską, z właściwej ojczyzny, z której specyficzna koniunktura ją wyobcowowała, i wreszcie tertio — z serca Michała, który z czarowawszy ją w jej szesnastym roku życia, w Warszawie, ożenił się nagle z uwiedzioną przez siebie moskiewską kursystką i odjechał w głąb Rosji objąć posadę inżyniera powiatowego, „sobie na wstyd, Różę na wieczne konanie”.

Tyle analogii z Rowanem „Wygnańców”. Ale u Różę do „krzywd” wyrządzonych jej przez los dochodzi jeszcze niespełniona kariera wirtuozki-wolflinistki. W sumie zaś zasadnicza różnica charakterologiczna ogromnie przewyższa tu podobieństwa, z kompleksów bowiem Rowana narodził się masochizm, podczas gdy z niespełnień Różę — Eweliny wyłania się swoisty sadyzm, nieprzewidywalna potrzeba moralnego zadrażnienia bądź przynajmniej przelotnego upokorzenia wszystkich ludzi nawiązujących z nią kontakt.

Tak więc nie można było spojrzeć ani zrazu jakiejkolwiek pewnością przy Różę. Swoim śpiewem, swoim wzrokiem, swymi straszonymi słowami rozszepelała każdą chwilę na ty-

jące różnolitych pań, odkrywała na każdym kroku przepaść (...). Kiedy przebywała w domu, świat wydawał się zaludniony upiarami, zga każdej twarzą znajomej wychylało się kilka szatańskich i anielskich sobowtórów, każda najwyklesza chwila ukazywała szczytynie zięjące wiecznością. Każdy dzień mógł być ostatni. — czytamy w powieści.

I każda przyjemna chwila, w jakiś niezwykle sposób czarująca, pociągająca za sobą, niczym nieuniknioną mocą kontrastu, ziośliwą prowokację. Można by znaleźć w literaturze i pod tym względem podobne rysy, choćby w tychże „Braciach Karamazow”, w charakterze Gruszenki, pożądającej odwetu za swą poniżoną godność koblęcą. Sadystyczną prowokacją jest też niejako imperatywem w psychice Solonego u Czechowa, a bohater mało znanego u nas opowiadania Turgieniewa pt. „Breter” żyje samą prowokacją do zwady, do pojedynków. Ale z Różą dzieje się rzecz bardziej skomplikowana, bezprzykładnie zawile. U Różę sadyzm łączy się z masochizmem w sposób całkiem niezwykle. Jeśli, powiedzmy, masochizm był cechą dominującą charakteru Rowana, to w naturze bohaterki Kuncewiczowej można go uznać za produkt wtórny, pochodną sadyzmu; dręcząc „niewinnych winowajców”, Róża — odwetowlec Róża — mściwiec za swoje krzywdy, po części urojone, bądź wyniesione własną pychą do rozmiarów antycznej tragedii, doznaje rozkoszy w bezustannym rozdrapywaniu swych „ran”.

Jakaż niezwykle złożona jawi się nam w tej postaci, zwłaszcza gdy weźmiemy na dodatek pod uwagę jej niesamowitą atrakcyjność, wręcz z piekła rodem, co w rodzaju *affair du coeur*. To wszystko trzeba było ocalić w adaptacji oraz poddać środkami aktorskimi rozważnie i czułościowi widza.

Osiągnięcie tak karkołomnego celu udało się Annie Lutosławskiej dlatego, że przestrzegając skwapliwie w swej adaptacji kardynalnej zasady monodramu. Cokolwiek tu się dzieje, dzieje się w psychice Różę, za sprawą jej przeżyć, jej wspomnień. Ukazujące się na scenie postacie: męża, syna, córki — są zwiadami dopełniającymi określenie stanu psychicznego głównej bohaterki dramatu.

W trakcie zapełniania się widowisk publicznością Róża, odziana w bezpretensjonalną brunatną suknię, chodzi w koło między źle dobranymi sprzętami, jakby rzeczowymi relikwiami minionego życia: jest tu nagromadzenie lamp naftowych, trącające prowincja serwetki sztydelkowe, taboret przed fortepianem, fotelik dziecięcy porzucony futerał do skrzypiec... Światło przygasa. Jeden promień wydobywa z ciemności złożone bezradnie dłonie. Róża opowiada o spotkaniu z Michałem. Początkowo mówi o sobie w trzeciej osobie. Narracja towarzyszą gdzieś w głębi (wspomnienie) gamy, grane przez uczennicę córki znakomitego skrzypka Januara, który miał uczynić wielką artystkę z pierwszej „adeptki” skrzypiec Warszawskiego Konserwatorium, wyrwanej niemal przemocą z Taganrogu przez salwującą polskie dziecko tante Louise. Wspomnienia odwołują coraz intensywniej. Róża mówi już w pierwszej osobie. Z oddali dochodzi szepc Michała. Zdaje się, w drzwiach majaczy ciemna postać. Scena ta, jakby przywrócona aktualnej rzeczywistości, a zarazem rozegrana dyskretnie w półmroku, chroni starzejącą się kobietę przed ośmieszającymi ją przejawami rozczulenia.

Celnie „reanimuje” Lutosławska, już przy pełnym świetle („naftowym”), grając z odcieniem zjadliwej ironii — scenę z dygnitarzem, która zrujnowała karierę dyplomatyczną Władysia. Epizod w Królewcu przywołuje w pamięci nie narracyjnie, lecz niejako prowadząc dialog z niemieckim lekarzem.

Do najbardziej przejmujących należą odtwarzane na podłożu wielkiego gniewu i nienawiści tragiczne momenty choroby Marty i agonii Kaziuka. W tej scenie daremnej walki o życie małego ulubieńca sukces artystki dzieli Andrzej Balcerzak, grający „cienia” Adama, niekochanego męża, na którego Róża „zwalila swoją piękność jak miążdzący glaz” męża, któremu jej „niespodziewaność, niebywała uczyniła świat puszcza, pełną zasadzek”, którą nauczył się wreszcie cierpliwości, lecz w jednej, jedynej chwili ośmielił się ukazać

dręczycielce oblicze zbuntowanego niewolnika.

Znakomicie charakteryzuje wyobcowanie Różę, spowodowane przez nią samą, krótkie wejście rozżalonego Władysia (Zbigniew Bator) jego lapidarne „Nic nie może matki rozbroić” i niechętna postawa Marty po zaskakującym „kazaniu” Różę o nowym życiu „z uśmiechem”.

Przy całym moim aplauzie dla omawianego spektaklu, zadając sobie jednak pytanie, czy dołączony do adaptacji „Cudzoziemek” Epilog w postaci fragmentu poematu Apollinaire’a „Dom umarłych” był istotnie potrzebny. Pobrzmiewa w nim niejako owo de mortuis nihil nisi bene, z którym nigdy nie umiałam się pogodzić, z którym nie godziły się przecie, gdy chodzi o postacie historyczne. „Nikt waszych win nie pamięta” jest dla mnie nie do przyjęcia w stosunku do osób mających do świata pretensje osobiste, zachowujących się na globie ziemskim jak zabobry z tytułu swej rzekomej, a bodaj nawet rzeczywistej wyższości nad otoczeniem.

No, ale to sprawa do dyskusji. Tak czy inaczej, cieszy mnie bardzo, że mogłam być świadkiem pięknego sukcesu spektaklu Anny Lutosławskiej na XIII Ogólnopolskich Spotkaniach Zawodowych Teatrów Małych Form w Szczecinie, gdzie otrzymał on pierwszą nagrodę publiczności oraz Ministra Kultury i Sztuki. Z przyjemnością oglądałam to przedstawienie powtórnie na niedawnych Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. Było jedną z niewielu pozycji ratujących honor owej nieudanej tym razem imprezy.

Jakże pragnęłabym móc ocenić dodatnio grudniową premierę lubelskiego Teatru im. J. Osterwy. Cóż kiedy nie dałoby się to pogodzić z obowiązującą krytyką prawdomównością. Niestety, po niewątpliwym osiągnięciu artystycznym, jakim był kulturalnie wystawiony „Hamlet”, mamy znów spektakl o posmaku prowincjonalnym. Teraz kardynalnym błędem stał się wybór niefortunnnej adaptacji „Cudzoziemek”. Należało przecie ubiegać się o świetną wersję Lutosławskiej albo też po prostu zrezygnować z pozycji.

Opracowanie Marii Komorowskiej nie przekazuje widzowi esencji, własności konstytutywnej, dzieła będącego, jak się rzekło, wnikliwym studium osobliwego, unikalnego w naszej literaturze charakteru kobiety. Rozgrywa akcję w gruncie rzeczy naturalistycznie, w aurze niemal drobnomieszczańskiej, widać ją do słowem i z ostatnimi dniami życia bohaterki, z dokonaniem w niej, że tak powiem, „cudem mniemanym”, pokazuje się Różę jednostronnie „ozbawia” ją dawnego fatalnego blasku. Narracja skierowana do zbyt konkretnych osób w zbyt konkretnym czasie scenicznym pozostaje tu tylko narracją, miast przeistaczać się w przebieg całego życia, zaktualizowanego przez „sam na sam” z intensywnymi wspomnieniami. Mało, znikomo mało w tym spektaklu odpowiada motto niezwykle trafnie charakteryzującemu trochę powieści Marii Kuncewiczowej:

„Ich sah dich ja im Traum  
Und sah die Nacht in deines Herzens  
Raum  
Und sah die Schlange, die dich am  
Herzen frisst...”

Osobistą zasługą Marii Szczechówny, artystki cenionej za długi szereg udatnych ról, powstaram — osobista jej zasługa jest wydobycie ze spłyconej przez niedobrą wersję postaci Różę kilku mocniejszych, tragicznych rysów: w relacji o fiasku z koncertem Brahmsa o śmierci Kaziuka... Natomiast wręcz niesmacznie wypadła niezręcznie rozbudowana w adaptacji passus dotyczący projektu podróży do Królewca.

Wersja wprowadza na scenę siedem osób, skazując aż trzy na niewdzięczne zadanie kómpursów, którzy razą swą nieprzydatnością w zaciemnionej przestrzeni scenicznego odnosi się im ogół wrażenie, że adaptatorka nie przemyślała do końca formy swego opracowania. Nie jest o ani monodram, ani pełnowartościowa sztuka kameralna. Doprawdy szkoda dla tak nieudanej pozycji wysiłku doświadczonych reżyserki, Stefani Domańskiej, szkoda trudu naszych aktorów, szkoda zawiędzonych nadziei Teresy Targońskiej, która na próżno zaprojektowała ambitną dekorację symboliczną.

**J**ESIEN ubiegłoroczna odznaczała się taką obfitością rozmaitych imprez muzycznych, że chcąc nadrobić powstałe w związku z tym opóźnienia spróbuję omówić łącznie koncerty listopadowe i grudniowe, pozostawiając „do następnego razu” — z uwagi na rangę — jubileuszowe występy Chóru „Echo”. Czytelnicy zechcą mi więc wybaczyć skrótość niniejszych uwag oraz pewną fanaberyjność układu, polegającą na zakłóceniu porządku chronologicznego i wyeksponowaniu tych koncertów, które w moim mniemaniu zasługują na największą uwagę. Zaczęę więc od recitali, by poprzez występ kameralistów z Weimaru i koncerty symfoniczne dojść do koronnego gatunku lubelskiej Filharmonii, jakim jest oratorium.

Szczęśliwie udało się nam w przeciągu kilku miesięcy usłyszeć dwoje wybitnych wiolonczelistów: Daniela Szafrana i Karinę Georgian. Oczywiście, różni ich nie tylko wiek, doświadczenie czy lista sukcesów, ale temperament, wrażliwość, wyobraźnia, stosunek do odtwarzanego dzieła, słowem wszystko, co składać się może na osobowość artysty. Rozmaicie — jak wolno sądzić — rozumieją swoje artystyczne posłannictwo. A przecież jest coś, co ich łączy: umiejętność kreowania niepowtarzalnego nastroju, jaki daje obcowanie z prawdziwą wielką sztuką, apelującą raczej do „czucia i wiary” niż do „oka i szkiełka”. Karina Georgian, laureatka pierwszej nagrody na III konkursie im. Piotra Czajkowskiego, występowała na naszej estradzie przed trzema laty, grając rewelacyjnie *Wariacje Rococo* patrona konkursu. Tym razem grała *Sinfonię F-dur* G. B. Pergolesiego, *Sonate D-dur* P. Locatelliego, *Pięć utworów w stylu ludowym* R. Schumanna i *Sonate d-moll* D. Szostakowicza. Akompaniowała jej — zresztą bardzo dobrze — pianistka Irina Anastazjewa. Gruzijka wiolonczelistka rozporządza znakomitą techniką i pięknym, nośnym i ciepłym brzmieniem. Nie ulega jednak pokusie nadmiernego eksponowania tego waloru, podporządkowując go całkowicie stylistycznym potrzebom utworu. I jeszcze jedno: o ile Szafran grał sonaty Bacha czy schubertowską *Arpeggione* w sposób tyleż ośniewający, co dyskusyjny, to interpretacje Georgian cechuje rozumiejąca wierność autorskim sugestiom. Daje to jej kreacjom stylistyczną nieskazitelność i niepowtarzalną przezroczystość.

Wieczór muzyki i poezji romantycznej w wykonaniu Andrzeja Bachledy (tenor), Zbigniewa Jeżewskiego (fortepian), Tadeusza Malaka (recytacja) i Zbigniewa Pawlickiego (komentarz) poświęcony był 150 rocznicy śmierci Franciszka Schuberta. W programie znalazł się cykl *Die Schöne Müllerin* D. 795 oraz wiersze Mickiewicza i Słowackiego. Andrzej Bachleda nie dorównuje pewnie Peterowi Schreierowi, ale wśród polskich tenorów lirycznych nadal jest najlepszy, toteż dwadzieścia pieśni cyk-

lu w jego wykonaniu mogło się podobać. Była to interpretacja zalecająca się kulturą wokalną i bezbłędnym wyczuciem schubertowskiego stylu. Szczególnie korzystnie wypadła liryczna *Die Neugierige*, pełna dynamiki *Mein!* oraz dwie pieśni, odzwierciedlające narastanie nastroju rezygnacji i melancholii: *Die liebe Farbe* i *Die böse Farbe*, pierwsza zaczynająca się w *h-moll*, druga w *H-dur*, obie wahające się jak gdyby w wyborze tonacji, by wreszcie zakończyć się nieodwołalnie w *moll*. Pewne zastrzeżenia budzić mogły natomiast początkowe *Das Wandern ist des Müllers Lust* i *Wohin* — pierwsza z nich, za sprawą pianisty, przypominała raczej człapanie niż wędrowkę. Słowa uznania

chwalony ostatnio „viwaldianista”, Vittorio Negri, wespół z drezdeńczykami „rozłożył” *Cztery pory roku*. Jakież zatem cechy stanowiłyby o owej „niemieckości” kameralistów z Berlina, Drezna czy Weimaru? Na pewno nienagannie rzemiosło, precyzja, umiar (chciałoby się dodać: klasykistyczny) — więc niby wszystko w porządku! Tak, tylko że wymienione cechy uzupełnić trzeba o chłód, rutynę, upodobanie do temp. umiarkowanych, niedostatki inwencji (np. realizowana na klawesynie partia *basso continuo* była zgodna z duchem Bacha — myślę o *Trzecim koncercie brandenburskim* — ale pozbawiona barwy, nastawiona na perkusyjne wystukiwanie rytmu). W rezultacie ani

Wagnera i R. Straussa, niemniej jednak docenić trzeba doprawdy znakomitą orkiestrację, pracę motywiczną i bogatą melodykę tego dzieła. Adam Natank i orkiestra stworzyli tu doprawdy kreację dużej miary. To samo da się powiedzieć o *Koncertie na altówkę* Grażyny Bacewicz i o *Dachu świata* Witolda Rudzińskiego: przy niewątpliwie hermetyczności muzyki nowoczesnej jedną z dróg wiodących do jej „uratowania” dla szerszego kręgu słuchaczy jest mistrzostwo wykonawców. W pierwszym przypadku zdecydowała o tym wspaniała gra Stefana Kamasy (zwłaszcza w kadencjach cz. I), w drugim — osobowość i typ głosowej ekspresji Aleksandra Bardiniego.

**Koncert na skrzypce, wiolonczelę i orkiestrę a-moll op. 102**, odwołujący się do tradycji symfonii koncertującej, rzadko daje się słyszeć na estradach, trudno bowiem znaleźć solistów, którzy sprostałyby jego trudnościom interpretacyjnym. Wanda Wilkomirska i Andrzej Orkisz wydają się tu duetem wręcz idealnym: podobne temperamenty, zbliżony typ wrażliwości i sposobu przeżywania muzyki. Doskonale wzajemne wyczuwanie intencji partnera widoczne było zwłaszcza w arcytrudnym pod względem fakturalnym i technicznym *Allegro* oraz w wirtuozowskim *Vivace non troppo*. Podkreślić też trzeba wyjątkowo piękny ton Wandy Wilkomirskiej i zmysłową, pełną pasji grę Andrzeja Orkisz. Stefan Marczyk prowadził orkiestrę nieco bezbarwnie, pomniejszając jej funkcję w *Koncertie podwójnym*.

I wreszcie oratorium. Każdy koncert tego rodzaju staje się wydarzeniem znacznego formatu. Decyduje o tym niewątpliwie osobowość i kompetencja Adama Natanka, którego kolejne kreacje znaczą etapy ciągłego doskonalenia się solistów, chórów i orkiestry. Tym razem w programie znalazły się *Missa d-moll „Nelsońska”* Józefa Haydna i *Missa brevis B-dur* K. V. 275 Mozarta. Jako soliści wystąpili: Danuta Damińska (sopran), Alicja Marczak-Faberowa (mezzo), Bolesław Hamaluk (tenor) i Kazimierz Przyłubski (baryton); towarzyszył im chór PSM I i II stopnia im. T. Szeligowskiego przygotowany przez Danutę Wysok. *Nelson-Messe* miałem okazję omawiać kilka miesięcy temu, ograniczę się więc do Mozartowskiej *Missa brevis*. Alfred Einstein napisał o tym dziele: „*Jest tak poufna, aparat orkiestrowy tak skromny, tak liryczny, że dzieło ma niemal charakter prywatny, a różnica między tym, co kościelne, a tym co świeckie, znika*”. Wydaje mi się, że sugestie dyrygenta poszły w tym właśnie kierunku, udatnie dążąc do wyeksponowania chromatyki *Missy B-dur* i jej polifonicznego żywiołu. Inna sprawa, że może nie wszyscy soliści w jednakowym stopniu wyczuwali subtelności mozartowskiego stylu, niemniej wykonanie obydwu utworów było z pewnością nowym sukcesem lubelskiej Filharmonii.

## NOTATNIK MUZYCZNY

Stefan Münch

należą się także Tadeuszowi Malakowi, zwłaszcza za skupioną, pełną wewnętrzną pasją *Wielką Improwizację*.

Wątek kameralistyczny wypada zamknąć uwagami o koncercie Orkiestry Kameralnej z Weimaru pod batutą Ude Nissen (soliści: Waltraut Wachter i Claus Gebauer — skrzypce, Gotthard Popp — wiolonczela). Przyznam się, że niemiecka *Kammerorchester*, która nie grałaby Bacha czy kompozytorów włoskiego baroku — by tak rzec — *alla tedesca*, słyszałem tylko raz. Były to *Concerti grossi op. 3* G. F. Händla w wykonaniu orkiestry Bachowskiej z Lipska, a dyrygował Raymond Leppard. Nawet mój dyrygent „numer jeden z plusem”, Wilhelm Furtwängler, nagrał kiedyś dwa *Concerti grossi* tegoż Händla, tyle, że z op. 6 tak ciężko i hałaśliwie, że dopiero firma „Deutsche Grammophon” zdecydowała się je ogłosić w cyklu reedycji nagrań archiwalnych. Także i

*Concerto grosso d-moll op. 3 nr 11* Vivaldiego, choć z ładnym *Largo*, ani *Drugi koncert na wiolonczelę* Boccheriniego nie mogli zadowolić, jakkolwiek Gotthard Popp zaprezentował się korzystnie. Bardzo interesujący okazał się natomiast *Kanon und Gigue* J. Pachelbela oraz *Divertimento D-dur* K. V. 205 Mozarta. Ta sześcioczęściowa kompozycja, będąca właściwie triem smyczkowym z rogami *obbligato*, okazała się pełną lekkością, wdzięku i intymności, zwłaszcza w częściach wolnych.

Przejdźmy teraz do wielkich form orkiestrowych. Mając na uwadze wieczerę muzyki polskiej (Karłowicz, Bacewiczówna, Rudziński) chciałbym podkreślić wyjątkowo dobrą dyspozycję filharmoników pod batutą Adama Natanka. Wyraźnie programowy tryptyk symfoniczny *Odwieczne pieśni* M. Karłowicza nie musi dziś budzić entuzjazmu, łatwo mu też wytknąć „dług” zaciągnięty u

## MARGINAŁKI ZNAD SEKWANY (III)

### Beaujolais Nouveau...

**W** TYCH dniach (piszę to 20 listopada) Paryż obchodził swoje święto. Może nie cały Paryż. Nie przesadzajmy. W każdym razie znaczny procent jego dorosłych obywateli plei męskiej Nadeszły skrzynki z nowym rocznikiem Beaujolais! Beaujolais Nouveau!

To ci sensacja! Jakież to ono jest, to nowe Beaujolais? Wielu paryżan obchodzi to bardziej niż niedawne sześćdziesięciolecie zawieszenia broni. 11 listopada 1918 w Compiègne. Bo i cóż to nadzwyczajnego? Jubileusz, jakich wiele. Prezydent (sympatyczny zresztą jego mość) położy jeszcze jeden i drugi wieńiec. Dekoruje Legia Honorowa jeszcze huś tam weteranów. Do tego defilada. Ale przecież 14 lipca była taka sama, a na ulicy ciepłej. Tym razem można ją zatem obejrzeć w „tele” w dodatku pijąc wino, czego szanujący się obywatel nie robi przecież na ulicy. Bo też i dzień wypadł wyjątkowo zimny jak na tego roczną złotą jesień paryską (boda) by to tak być teraz w Nałęczowie! Ale ja się wybrałem na tę defiladę, choć mogłem ją przecież obejrzeć w telewizorze i w kolorowym.

Namierzam się tam na tych Polach

Elizejskich, aż godzinę czekając, obserwując rzesze policjantów, żandarmów i gwardzistów (niewiele chyba mniej niż widzów), gapiąc się na przygotowania, na sztandary weteranów, gromadzących się koło trybuny (mignął mi nawet polski sztandar!). Ba! Samych generałów policji naliczyłem siedmiu. Daję słowo! Spytajcie Królikowskiego. Byliśmy razem. On się przecież zna na mundurach. A potem zaczęły zajeżdżać limuzyny z generalami, z admirałami, z generalami lotnictwa. Straciłem rachubę. Aż się złościło od gwizdek i pasków, od galonów i dębowych liści, czerwieniło od wstęg Legii (ale za to inne ordery tylko w formie baretek do tego panowie generalowie nie włożyli nawet pasów, fe!).

Stałem prawie naprzeciw trybuny. Tuż przed pomnikiem Jerzego Clemenceau, który był tego dnia głównym bohaterem spektaklu, bo przemówienie Prezydenta (bardzo poprawne literacko) było właściwie apostrofą do Ojca Związku. A także apostrofą do Francji Bohaterskiej (już ja ja widzę! W czasie „śmiesznej wojny”, podczas kampanii 1940 roku...), wyliczeniem wszystkich poległych przez nią bojów, od bitwy

pod Poitiers, kiedy to w roku 732 Karol Martel (trzeba by gdzieś sprawdzić czy to nie od niego wywodzi się znana firma, produkująca: no, co? — pytanie za 5 franków!) bohaterstwo rozbił Saraceniów, aż do... Algieru.

Potem patrzyłem na tę defiladę. Nawet z bliska. Przy dźwiękach marsza „Sambra i Moza”. Szli uczniowie szkół oficerskich w historycznych mundurach, gwardia narodowa, a potem kilkadziesiąt kompanii reprezentujących różne pułki. Rozmaite rodzaje beretów, kepi, furazerek, różne sznury, szlify, pasy. Strzelce alpejscy, Legia Cudzoziemska, marynarze z czerwonymi pomponikami, lotnicy. A na końcu aż trzy szwadrony gwardii konnej.

Ale to wszystko wyglądało raczej operetkowo. Ten ich krok defiladowy! Coś nie te... A już ta ich kawaleria! Szkoda słów. Niby konie ładne. Owšem Kaski kirasjerskie. Patasz. Mundury gdzieś aż z II Cesarstwa. Ale co z tego? Przebiegały i tyle. A jeszcze (mając własną konną, orkiestrę) defilowali w klusie. No, nie, panowie! Prawdziwa (prawdziwa—polska) kawaleria defilowała w galopie. Galop — proszę państwa — jest ruchem płynnym, pełnym dostojęstwa. A klus? Pewnie, ja lubię i klusować. Ale to nie to co galop. Zwłaszcza w defiladzie.

Tak, stanowczo ciekawsze jest to nowe Beaujolais. Tiens! Pas mal! Cmokam w tej chwili językiem, pociągając ze szklaneczki. Ale z młodym winem trzeba ostrożnie. To nie jest złe. Naprawdę! Nie ma się co dziwić panom Francuzom, że świętują ten dzień. Obiegają bary. Tłoczą się w sklepach. A wino trzeba umieć kupować. U Nicolasa jest po 11 F, a u Felixa Potin po 8 F 90 — taka sama butelka. Ja oczywiście ku-

piłem u Nicolasa. Ma się ten gest! Niezłe to wino. Cierpkie. Z kwaskiem. Piękny jasnoczerwony kolor.

O winach można pisać dużo (tak jak i o serach). Wyliczenie samych tylko marek wypełniłoby osobny felieton. Także i cen. Bo des clochards (nie wiem jak to pisać po polsku: klozardzi czy clochardzi?) piją po 3 F 50 za litr, w plastikowych butelkach. Dobre wina (burgundy, Bordeaux, no i Beaujolais) są już od 8, od 10 F. Ale są i po 20, po 40 (Chateaufort du Pape, Chablis, szampany), widziałem po 120 i po 200 F za butelkę, a słyszałem, że są i po 500 F. Bagatel! — 120 dolarów! (około, ja tam nie jestem mocny w rachunkach).

No tak, ale zacząłem o clochardach. Kiedy zaświeci słońce, wylazą ze swoich kryjówek, przeciągając się wychodzą ze stacji Metro, gdzie koczują w słotne dni, śpiąc, paląc papierosy, pijąc wino de clochards (to po 3 F 50) i wiodąc długie dysputy. Niekiedy nawet czytają książki. Ale jak zaświeci słońce, wychodzą na ulice. Stają grupkami na rogach. Zaczępiają przechodniów. Nie każdego. Najpierw taksują wzrokiem: da franka czy nie da? Jak zbiorą kilka — kupują wino. Wypłwyszy, są weseli. Spiewają. Opowiadają dowcipy.

Des Clochards — specjalność Paryża. Hełz to o nich napisano! Tyle chyba, co i o bukinistach. Ale o clochardach, jak i o innych dziwaczkach, których tu pełno, napiszę innym razem.

A swoją drogą to nowe Beaujolais całkiem niezłe!

Blązej

# KRONIKA KULTURALNA

... na tylko niektóre pozycje z...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Otwarta w grudniu w Muzeum Orlimowskim w Lublinie, wystawa będzie do marca...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Główne uroczystości 30-lecia Towarzystwa Spiewacznego „Echo” w Lublinie odbędą się na początku marca...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Tysiąc osób dziennie odwiedza Klub Garnizonowy w Lublinie...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Występy chórów, zespołów folklorystycznych, orkiestr, kapeli ludowych, wokalistów, wystawy amatorskiej plastyki i fotogra-

● Dzień lat temu Stowarzyszenie Twórców Ludowych liczyło 124 członków...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Galeria „Labirynt” w Lublinie przedstawiła przy końcu minionego roku prace jednego z czołowych konceptualistów europejskich...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

● Nareszcie w Lublinie! Z głębokim przejęciem i nadzieją informujemy, że Lubelski Dom Kultury (nr telefonu 237-00) rozpoczął cykl wykładów pt. „Spotkania ze Wschodem: Nauka twórczej inteligencji - transcendentalna medytacja yoga”.

● Potwierdza się moja opinia - powiedział w wywiadzie prasowym autor wybranego do realizacji projektu pomnika H. Bieruta w Lublinie, Bronisław Kubica...  
... (1978) programie...  
... (1981) programie...  
... (1982) programie...

## „Bez znieczulenia”

**P**O teatralnej a potem telewizyjnej realizacji „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego, po sięgnięciu do wielkiego narodowego repertuaru, Andrzej Wajda zaprezentował oto film, który mógłby się mieścić w konwencji... melodramatu. Ale oczywiście „Bez znieczulenia” melodramatem nie jest. Po prostu na kanwie tego gatunku Wajda tworzy wielowątkowy i wielopłaszczyznowy film, tym trudniejszy zresztą w odbiorze, im bardziej - przekraczając powierzchowne warstwy: obyczajową, publicystyczną, satyryczną - zstępujemy w region psychologii, który wydaje się niezwykle istotny w tym filmie. Dochodzi do tego jeszcze aspekt sui generis sensacyjności dla widza: główny bohater, Jerzy Michałowski, jest z zawodu reporterem tzw. międzynarodowym, od lat obserwującym to, co się dzieje w krajach Trzeciego Świata. Bezbłędnie trafia w największe ogniska zapalne, na pierwszą linię frontu, Michałowski to człowiek odważny, pełen poświęcenia, reporterskiej dociekliwości, a jego książkę cechuje dziennikarska uczciwość i pisarski talent. Jest inteligentny, błyskotliwy i na swój sposób niekonwencjonalny. Daje tego dowody zaraz w pierwszej, obszernej „telewizyjnej” sekwencji „Bez znieczulenia”.

I naraz ten monolit zaczyna chwiać się w posadach. Po przyjeździe z kolejnego zagranicznego wojażu zostaje przez żonę poinformowany, że odeszła do innego mężczyzny, a w pracy okazuje się, że oto znalazł się w innej niż dotąd konstelacji.

Pocuszając się wśród ludzi niewysokich lotów, z pewnością zazdroścących mu sławy, talentu, pozycji, będzie teraz poddany całemu szeregowi przykrości i upokorzeń ze strony otoczenia, jak to się często zdarza, gdy świecąca równym blaskiem gwiazda zaczyna nagle migotać. A na dodatek, pracownik redakcji, młody chłystek, beztalencie szermujący frazesami, typ o tyleż nieciekawym co godnym pożałowania, okaże się jego zwycięskim rywalem na gruncie osobistym, uczuciowym.

Spodowisko otaczające redaktora Michałowskiego rysuje Wajda grubą, ostrą kreską zatracającą nierazko do rysunek przesadny, satyryczny. To samo dzieje się w scenach dotyczących jego życia prywatnego. Choć satyra ustępuje częściej miejsca dramatowi a w końcu - tragedii. A najsilniej zaczyna się dramat rysować wówczas, gdy sięgnemy do problemu dotychczas przez krytykę nie podnoszonego: problemu, który w jakimś sensie łączy film Antonioniego „Zawód: reporter” z „Bez znieczulenia” Andrzeja Wajdy.

I tam i tutaj bohater, „grand reporter”, wciąż poszukujący, wciąż blisko znajdujący się życia klebiącego się w odległych krajach, zajmujący postawę aktywnego obserwatora ważkich wydarzeń na świecie, niepostrzeżenie jakby odrywał się od własnego gruntu, tracił kontakt z własnym środowiskiem, nawet - ze swoją rodziną. On jest tym, który jeździ w dalekie podróże, na całe tygodnie lub miesiące znika z domu, żądny wiedzy, zrozumienia wstrząsających światem konfliktów, przetwarzania zdobytych doświadczeń przez pryzmat własnej osobowości. W domu jest gościem. Przypomina trochę marynarza, który w kilka dni po powrocie do portu zaczyna marzyć o morzu, o następnym rejsie. U Antonioniego wszystko to przyjmuje wymiar filozoficzny, egzystencjalny, postawę bohatera cechuje zniechęcenie do świata, życia, totalna rezygnacja. U Wajdy wprost przeciwnie: Michałowski jest człowiekiem czynu, zaangażowanym energicznie, bezkompromisowym. Lecz... czasem nie chce się zgodzić nawet na kompromisy „pozytywne”, słuszne, logiczne. Jak choćby wówczas, gdy nie godzi się na rozwód, co doradza mu znajoma uważając, że żonie Jerzego nie powinno się w tym momencie stawiać żadnych przeszkód jakie mogłyby ją tylko utwierdzić w podjętej pochopnie decyzji...

Bez znieczulenia, boleśnie i gorzko doświadczając oto życie Jerzego Michałowskiego. A boleśnie tym bardziej, że ukołysany przez lata zawodowymi sukcesami, poprawnymi stosunkami w pracy i w rodzinie, swoście „odrealniony” ciąglem przebywaniem poza domem, zapomniał jakby, jak wygląda prawdziwe życie. Ze składa się ono z sukcesów ale i z trosk, kłopotów, wzlotów, upadków i konfliktów. Ze z życiem trzeba się nie jeden raz brać za bary, w sposób umiętny i cierpliwy. Otrzymamy niespodziewanie cios prowokacji Jerzego nie tyle do obrony, sensownego działania, co do dość chaotycznej walki a oślep, aż do przegranej.

Jerzy Michałowski nie może sprostać sytuacji w jakiej się znalazł. Nie ma na to dostatecznej odporności, spistości wewnętrznej.

Nie stać go na samotność. Może właśnie istotny moment „Bez znieczulenia” stanowi scena, kiedy przybyła z zagranicy kilkunastoletnia córka przeczuwająca, że w rodzinie dzieje się coś niedobrego, zwierza się ojcu, że „uczy się być samą”. Gorzkie to, smutne i - w aspekcie rodzinnym - wielce mówiące stwierdzenie. A ojciec odpowiada, że... on sam nigdy nie potrafił się zdobyć na próbę czegoś podobnego.

Unoszony na przyjaznej fal życia nie dostrzegł redaktor Michałowski realiów codzienności, samotności żony, córek, ich problemów, zainteresowań, tęsknot. Gdy i nad nim zawisła samotność nie umiał ani się w niej zmieścić, ani znaleźć z niej sensownego wyjścia.

W roli Jerzego Michałowskiego występuje Zbigniew Zapasiewicz i jest to wielki popis gry aktorskiej. Może pewien niedosyt po obejrzeniu tego tak interesującego, z pasją - choć nie bez pewnych wad scenarzysty - zrobionego przez Wajdę filmu, wynika również właśnie ze zdominowania „Bez znieczulenia” przez wspaniałą osobowość aktorską Zapasiewicza.

M.D.

## KALEJDOSKOP

### Przyjaciół poznaje się...

Znigniew Mentzel zajął się w nrze 46 „Polityki” osobą Bogdana Chorążuka, dyrektora „Estrady” w Rzeszowie, który kupił od samego siebie około 500 piosenek za około pół miliona złotych.  
W 51 nrze „Polityki” do tej sprawy powrócił Urban (chyba Jerzy „Polityka” imienia nie podał). Powrócił, ponieważ w sprawie Chorążuka wystąpił na łamach „Sztandaru Młodych” Jan Tetter. „Publicysta „Sztandar” - stwierdził Urban - jest zdania, że Mentzel wydrószył Chorążukowi pół miliona, tymczasem Chorążuk miał prawo się obłowić, gdyż obroty jego firmy wzrastały.  
Nie będziemy dalej cytować Urbana, bo nie jest znów sprawą istotną, w jak sposób Tetter usiłuje bronić Chorążuka. Natomiast znamienne jest przypomnienie Urbana, że Jan Tetter - zanim w owej obronie publicznie wystąpił - sprzedawał Chorążukowi z rzeszowskiej „Estrady” własne utwory.

Chciałoby się zapytać: „Panie Urban, kiedy to było? Chyba nie po artykule Mentzla, ale przedtem. I dlaczego Pan, Panie Urban, czepli się teraz pana Jana Tettera? Pan Jan Tetter zapewne nie był jedynym autorem, który swe teksty sprzedawał rzeszowskiej „Estradzie”. Kiedy teraz przed Chorążukiem zatraśla się ziemia, kto z tych, którzy się kiedyś obłowili, gabrał publicznie głos? Nikt. Nikt poza Janem Tetterem. Jak więc nazwać ten wściekły potęgnek? Przyjaciół poznaje się w biedzie - mówi jedno przysłowie, a drugie odpowiedział: na pochyłe drzewo każda kosa skacze.”

Kalejdoskop przytacza się do obrotu Chorążuka. Ostatecznie autor - Chorążuk sprzedał dyrektorowi-Chorążukowi tytuł około 500 piosenek za około 500 000 złotych. A nie mógł sprzedać tysiąca za milion? A swoją drogą casus-Chorążuk jasno wykazał, że nie każdy poeta biał w obłokach. Kiedy poeta biał się w fotelu dyrektorskim porwała mu to mocniej trzymać się ziemi.

### Prawdziwa cnota

Łódzkie „Ogłosy” zamieściły w świątecznym numerze czterospaltowy artykuł Konrada Frejdlicha pt. „Listy do „Szpilek”. Autor przypuścił szturm na Romana Gorzelskiego, który na łamach „Szpilek” obśmawia Łódź, przynosząc w dalszym ciągu, nowe porcje błota. „Można by pomyśleć, że Gorzelski nie pisze tylko pluje. Albo się nadyma.” Frejdlich przyznał jednak, że Gorzelski dostrzeżę w Łodzi jedną dobrą stronę - działalność „Estrady”. „Ale to chyba tylko dlatego, że zatrudniony na pół etatu Gorzelski bierze stamtąd pieniądze.” Konkluzja Frejdlicha jest taka: „Może więc magistrat Łódźki wyznaczy mu ze swej skąpy jakiegoś skromne uposażenie, a wtedy obraz Łodzi na łamach „Szpilek” zyska na słodyczy. Ale od takiej słodyczy robi się mdło.” „Szpilek” wychodzą z mottem Krasickiego: „Prawdziwa cnota

krytyk się nie boi” a red. Witold Eiler, którego nazwisko kilkakrotnie Frejdlich wymienił, mimo woli przyjmując w i ówczesne metody swego adwersarza, doznał się swego: nosił wilk razy kilka, poniesi i wilka.

Tylko, o licha, „Szpilek” to nie organ łódzkiego magistratu! A zamieszczane w tym piśmie „Listy do Warszawy” nie mają charakteru panegiryków. I kto wreszcie „Szpilek” traktuje poważnie? Kalejdoskop ze swej strony woli pażkwil niż donosy!

Konrada Frejdlicha znamy jako zrzędnego scenarzystę filmów dla młodzieży. Okazuje się, że potrafi i o innego!

Zeby nie było wątpliwości: my w „Kamieniu” tak Łódź kochamy i cenimy, że nawet tysiąc Gorzelskich nie zmieni naszej opinii o tym mieście. Prześtaniemy jednak, czytając w „Szpilekach” ewentualne kolejne listy z Łodzi pióra tego samego autora, wierzyć w pozytywne lamtejszej „Estrady”. Tutaj Frejdlich przekonał nas w stu procentach!

### Dziewięćset dziewięćnaście

918 - to numer telefonu „Radio-taxi” w Lublinie. Oto opowieść Kalejdoskopowi historjka, która wydarzyła się w niedziele, 24 grudnia 1978 roku:

Godzina 12. Nakręcam numer 918. Wyjątkowo nierazjęty. Mity głow:

— Słucham...  
— Proszę pani, chciałem zamówić taksówkę na wieczór...  
— To musi pan dzwonić trochę później, jak będzie zmiana.  
— A pani nie może przyjąć zamówienia?  
— Nie.

Godzina 14.30. Nakręcam numer 918. Zajęty. Kręce znowu. Zajęty. Nie ma takiego numeru, jak w MO, czy w centrali szpitalnej, który mówi: „Proszę czekać na zgłoszenie, proszę czekać...” Telefoni-

wać trzeba więc do skutku. Wreszcie udaje się.

— Słucham...  
— Proszę pana, chciałem zamówić taksówkę na wieczór...  
— To musi pan wieczorem zadzwonić.  
— Nie mogę wieczorem zadzwonić, bo tam, gdzie będę, nie ma telefonu.

— To ja panu nie na to nie poradzę.  
— Niech pan zrozumie. Moje nazwisko... dzwonię z telefonu... i chcę, aby o godzinie dziesiątej taksówka podjechała na ulicę Hutniczą. Czekać koło księgarni.  
— To musi pan później zadzwonić.

— Przecież tam nie ma telefonu...  
— Tłumaczenia, tłumaczenia. W końcu coś trafia do faceta:

— Ale ja panu nie mogę teraz podać numeru taksówki.  
— Niech pan poda tylko moje nazwisko taksówkarzowi, a będę czekał punktualnie.  
— Dobrze.

Godzina 21.55. Czeka na umówionym miejscu. Nic. Godzina 22.15. Nic. O godzinie 22.25 łapie przypadkową taksówkę prywatną (nr 411) i jęde do domu. Straciłem pół godziny czasu. Już z domu telefonuję pod 918 i pytam, czy jest moje zgłoszenie.

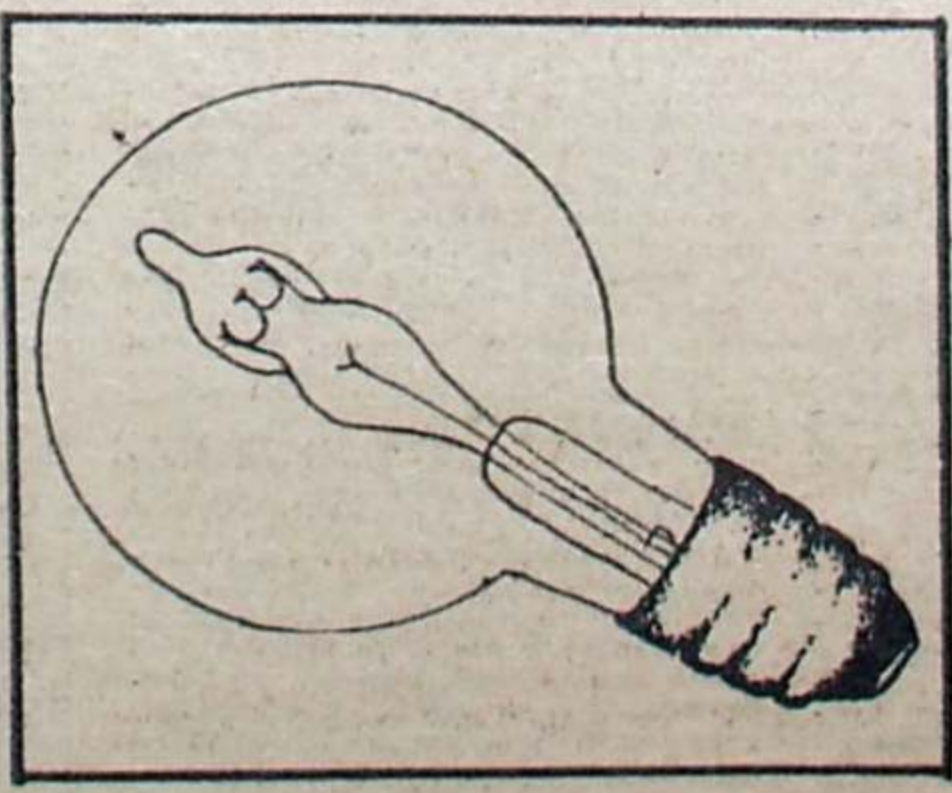
— A nie wiem, bo ja dopiero przyszedłem. Ale sprawdzę. Jest.

— To, dlaczego samochód nie przyjechał?

— Nie wiem. Ja mam zmianę od dziesiątej!

„Radio-taxi” - to naprawdę potrzebna innowacja. Ale z ludzi nie wolno robić balonów. I sprawę trzeba tak uformować, aby zamówienie można było złożyć nawet poprzedniego dnia. Wydaje się również, że warto ustalić stałą stawkę za wezwanie, jak np. jest na Zachodzie. W RFN płaci się za wezwanie tyle, ile kosztuje 1,2 litra benzyny. A u nas nigdy nie wiadomo. Nie wiadomo, ile się zapłaci, nie wiadomo, czy zamówienie w ogóle zostanie zrealizowane. Po prostu balaganiarstwo!

Panie Dyrektoro Naczelny MPK, czy Pan w tej sprawie nie ma nic do powiedzenia?



Rys. J. Hordejski

# PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Przyroda zrzuciła narzęście przybrudzone od wilgoci przegniłe szaty, a przystąpiła się w białą strojną zimę sudeńską; kosa nie turkoczą już po bruku, ustępując miejsce sankom, które uwijają się raźnie, z dala dają znać o sobie hałasliwymi dzwoniakami. Spragnieni szlachydy lubianianie używają jej teraz do woli, a amatorowie szlagawki przygotowują się do popisu swej zręczności na zamrażającym już Czechowskim stawie. Wisła już w niektórych punktach i inne mniej bystro płynące rzeki, pokryły się już także lodową powłoką. Zima więc na dobre do nas zawitała, a jej nadejście przyjmujemy z radością, gdyż suchy stan powietrza zdola może koniec połozyc rozlicznym chorobom, jakie w ostatnich tygodniach grasować w naszym mieście poczęły. „Gazeta Lubelska”

PRZED 50 LATY

Między Lublinem a Lubartowem kursuje kilkanaście autobusów, których większość jest własnością polskich obywateli miasta Lubartowa. Autobusy te są solidnie wykonane i prawie wszystkie zupełnie nowe. Dzięki temu komunikacja na tej linii była dość znośna. Tak było dopóki każdy właściciel miał odrębną koncesję. Na ściśle przestrzeganie godzin odjazdu z Lubartowa wpływał niemało policjant, który czuwał nad tym, jak również nad ilością pasażerów, która nie może przewyższać 16 osób. Obecnie stosunki te zmieniły się. Na miejscu postoju autobusów nie pojawiają się już policjanci, a rozkład jazdy obowiązuje tylko na papierze.

Odbyło się wczoraj zebranie Kobięcego Klubu Sportowego. (KKS). Rozpatrzono na nim i przyjęto statut klubu. Żywa dyskusja wyłoniła się nad punktem statutu, że członkinią klubu może być każda Polka cześć nieposiadająca, która ukończyła 21 lat życia. Ważne zebranie zgłosiło poprawkę, by członkiniami klubu mogły być także panie od lat 18, z tym że do czasu pełnoletności nie mogą być wybierane do władz klubu. Lokal klubu mieści się na razie w mieszkaniu p. Jankowskiej przy ul. Narutowicza 14.

Poczynając od 1 grudnia do 10 stycznia na całym obszarze Rzeczypospolitej Związek Przeciwwgruzliczy urządził „Dni Przeciwwgruzlicze”. W czasie tym odbywa się sprzedaż nalepek na rzecz walki z gruźlicą, oraz propagowanie idei walki z tą nieubłąganą kłębą. Przygotowania do dni przeciwwgruzliczych na terenie m. Lublina trwają już od kilku miesięcy. W programie jest urządzenie przez lekarzy szkolnych pogadanek w szkołach ilustrowanych przezroczkami oraz demonstrowanie filmu o treści propagandowej w kinoteatrach. Popularne broszury przygotowane w dużej ilości mają być bezpłatnie rozdawane w celu uświadczania ludności co do przyczyny istoty i skutków tej strasznej choroby. Poza tym będzie wygłaszany szereg odczytów przez miejscowych lekarzy. Dochód ze sprzedaży nalepek ma zasilić obecnie bardzo szczerpny fundusz Towarzystwa Przeciwwgruzliczego. Obowiązkiem każdego jest poprzeć tę akcję drogą kupowania nalepek T-wa Przeciwwgruzliczego. Spółeczeństwo nie powinno zapomnieć o tym że ma spełnić swój obywatelski obowiązek (a gruźlicę zwalczyć można jedynie wspólnym wysiłkiem).

„Lutnia” Lubelska ma już swoją historię. Na kartach swej działalności zapisała się już niejednokrotnie chwalebnie literami. Wystarczy powiedzieć, że stanęła w gronie najlepszych chórów w Polsce. Świadczą o tym wyniki na różnych konkursach śpiewaczych, świadczą o tym również fakt, że „Lutnia” lubelska dopuszczona do konkursu ogólnopolskiego, który odbył się w czasie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu. A zaznaczyć trzeba, że do konkursu dopuszczono tylko najlepsze chóry.

„Głos Lubelski”

Należców nie na żarty pragnie stać się kiedyś wielką letnią osadą eleganckiego świata. Słyszeliśmy już, że tamtejszy zakład kąpielowy ma być urządzony z komfortem, równającym się zagranicznemu, a obecnie mamy przed sobą odezwę administracji do Należców, zawierającą, że w pobliżu zakładu kąpielowego, w miejscowości odznaczającej się swą malowniczością, wydzielony został 80 działek gruntu dla przedsiębiorców pragnących nubiudować na nich wille letnie. Goście jednak już w przyszłym roku będą mogli korzystać z wód nalezcowskich, skoro tylko zdecydują się zność niektóre niedogodności wynikające z powodu niepełnego urządzenia zakładu. Po ukończeniu, urządzonego się z komfortem pałacu, który przyniesie się na pomieszczenie administracji zakładu, restauracji, szatni i sali do zabaw oraz mieszkań dla gości, po odrestaurowaniu ofensy i hotelu w Zakładzie. Należcówskim będzie się mogło mieszkać 75 rodzin.

Wybrała: Anna Orzechowska

## KRZYZOWKA

(nr 1)

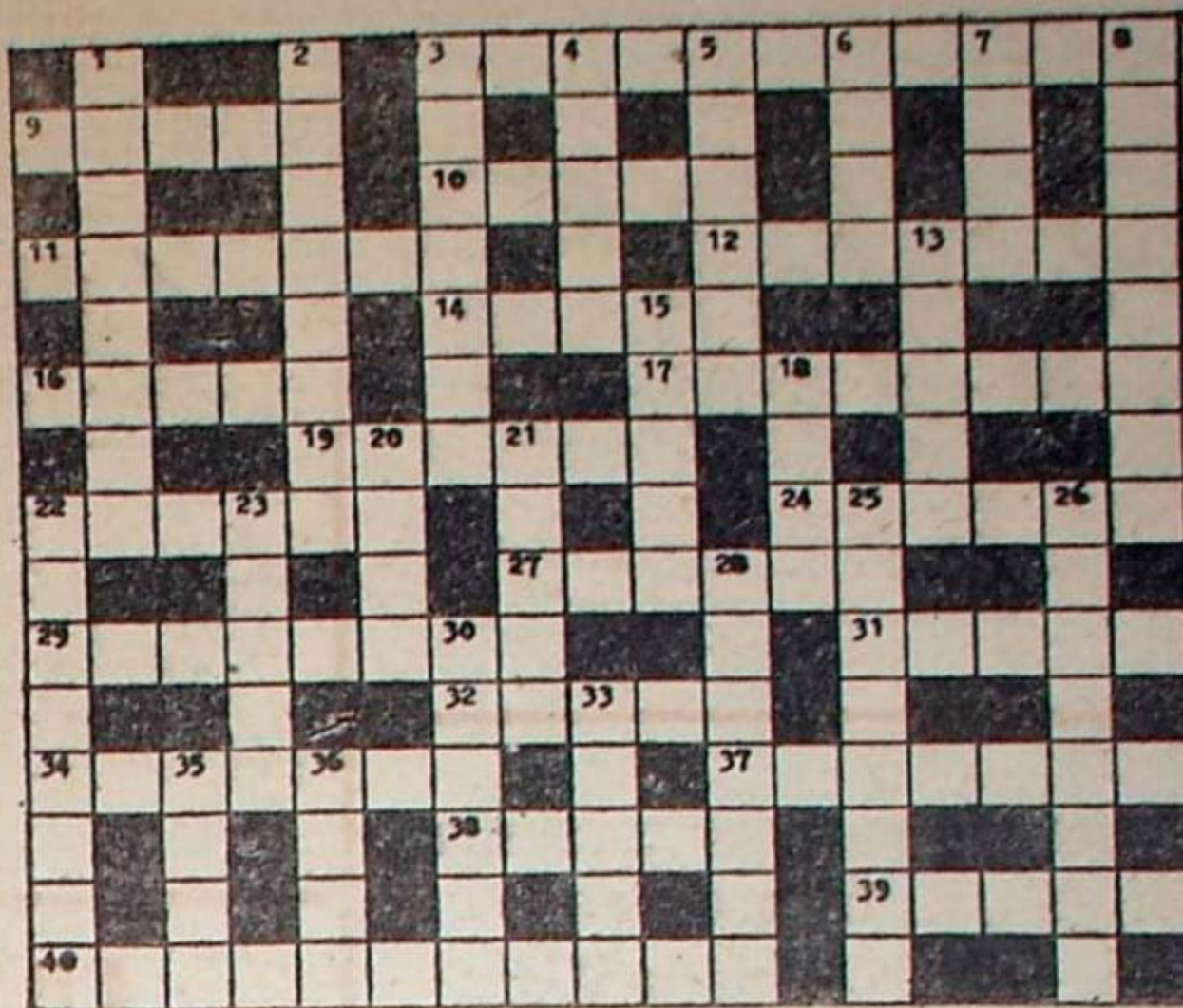
Poziomo: 3. pisarz belgijski, laureat Nagrody Nobla, 9. sufit, 10. zimowy sprzęt sportowy, 11. aktor i reżyser, udzielający porad amatorom piosenkarzom w telewizji, 12. silnik napędzany przy pomocy łożysk, 14. sztuka teatralna Mroźka, 16. dychwawca, 17. miasto w Wielkopolsce znane z historii walki przeciw germanizacji, 19. chilijski poeta, laureat Nagrody Pokoju, 22. np. Lublin, 24. rożnecznik, 27. podreżny i poręczny koszyk, 29. kłopoty, perypetie, 31. odbicie światła, 32. stary typ zegarka, 34. rozcieńczony płynem jakiś składnik, 37. tuczony kureczak, 38. pojęcie matematyki analitycznej, 39. pocztówka, 40. wynałazca lampy naftowej.

Pionowo: 1. pisarz polski, autor „Na srebrnym globie”, 2. praktykant, 3. kontrolny ekran telewizyjny, 4. czasopismo poświęcone sztuce filmowej, 5. wydawca, 6. mibra objętości, 7. krawiecki surowiec, 8. nie był się szekających psów, 13. żona pana Michała, 15. język ludowy, 18. katolicki klub poselski, 20. organizacja Turków cypryjskich, 21. jedno z imion autorów „Powrotu posła”, 22. surowiec, 23. początek biegu, 25. autor „Piercyka w złołach”, 26. uprawy pod szkłem, 28. np. kangur, 30. chroniony rycerz przed strzałami, 33. w piłkarskich butach, 35. zarobek na transakcji, 36. nie można go dzielić na czworo.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

ROZWIĄZANIE KRZYZÓWKI Z NR 25

POZIOMO: Pasek, zbieg, Singer, Ugan-da, kosmos, Lukonin, Elba, skrzypce, Skalski, gaza, gawrosz, estrada, kino, Olandia, Nadrenia, Rzym, neutron, welwet, idio-ci, czekan, sanna, Gracz.



PIONOWO: osika, Mniszkówna, Pruszyński, smalec, Biskra, Eton, palasze, Hannibal, Legiony, Kasprowiec, Szaniawski, ogrodnik, Ziarnik, Darwin, amfora, Atena, unia.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 25 bony książkowe po 40 zł za każdy wylo-

sować: Włodzimierz Kalenik 21-306 Radzyń Podlaski ul. Warszawska 64, Stanisław Kruśński 20-455 Lublin, ul. Siemiradzkiego 14, Tadeusz Jastrzębski 15-258 Białystok, ul. Szenwald 26, Sabina Bourdo 20-122 Lublin, ul. Okrzei 3/59.



### BĘDZIE PORZĄDNIJ

W związku z notatką w sprawie porządków na emigracji chełmskiej, która ukazała się w nr. 23 „Kamieny” z 13 listopada 1978 r., uprzejmie informuję, że emigrant grzebalny przy ul. Lwowskiej w Chełmie jest administrowany przez miejscową Parafę pod wezwaniem Rozesłania Świętych Apostołów.

Zwróciłem się z pismem do administracji parafii o podjęcie działań w celu poprawienia nawierzchni alejek na emigracji. Szczegółową informację w przedmiotowej sprawie przekażę redakcji po otrzymaniu wyjaśnień od administratora emigracji.

Prezydent miasta Chełma  
mgr inż. Daniel Han

### „CENTRUM POLONII”

Jako były lublinianin z zainteresowaniem i satysfakcją przeczytałem w 25 numerze „Kamieny” rzecz o działalności Polonijnego Centrum Kulturalno - Oświatowego UMCS i Towarzystwa „Polonia”. Nawigując do treści tego artykułu chciałbym poinformować, że Ministerstwo Oświaty i Wychowania przewiduje wydanie dalszych pozycji z zakresu szkolnictwa polonijnego. W tym roku ukazał się np. nowy „Elementarz” i podręcznik z geografii „Polska i krajoznaz”, w następnym - książki traktujące o Polsce dzisiejszej i jej historii oraz kulturze. (...)

Antoni Burzyński  
Warszawa

### „CIĘŻKO”

W pełni zgadzam się z opiniami pp. Jareckiej i Uchnasta („Kamieny” nr 24 i 26), wyrażonymi w listach do redakcji. Jako ojciec 12-letniego dziecka widzę codziennie, ile kłopotów powodują taszczy ono codziennie do szkoły. Wiem też, że wspomniane klaso-pracownie, zmuszające dzieci do ciągłego koczowania po szkole, są prawdziwą zmagłą dla uczniów. Notamiast czytelnik z Puław, który inaczej spojrzal na sprawę, zastanowił w swojej argumentacji chwytł wyrażenie demagogiczne. Jego twierdzenie, że list p. Jareckiej popiera egotizm i prywate, jest jawnym nadużyciem logicznym, ponieważ całe wyposażenie szkół jest własnością społeczną, państwową i nie ma nic do rzeczy, czy dziecko siedzi stale w jednej ławce, czy też ciągle zmienia swoją „bazę”. Wydaje mi się przy tym, że skuteczniej można dziecko nauczyć poszanowania dla dobra społecznego, jeśli odida mu się pod opiekę coś konkretnego, choćby właśnie tę jedną ławkę.

Marian Jeziorski  
Lublin

### CENNIKI

(...) Pewne muzeum w regionie lubelskim zwróciło się do spółdzielni z prośbą o wykonanie prostych straganów, potrzebnych do urządzenia kiermaszu sztuki ludowej w mieście, ta zaś zażądała od wykonania jednej sztuki prawie 12 tys. złotych. Na szczęście dla kasy muzealnej „nawinął się” przy okazji prywatny stolarz, który za jeden stragan chciał tylko 4 tysiące, tym samym wygrywając przetarg. Powstało pytanie, skąd się wzięły takie dysproporcje cen? Przecież w grę wchodził taki sam materiał, taka sama robocizna! Czy spółdzielnie rzemieślnicze zaczęły się wzorować na PKZ-ach, które, jak wiadomo, doją kontrahentów, ile wlezie?

Joanna Kamińska  
Chełm

### RATOWANIE „CZWOROBOKU”

Przeczytałem kiedyś w rubryce „Listy do Kamieny” korespondencję czytelnika, zaniepokojonego przyszłością tzw. Czworoboku we Włodawie. Zespół zabytkowych bu-

dynków, unikalny w kraju pod względem swojej funkcji (handlowej), miał być rzekomo przeznaczony do rozbiórki. Na tym miejscu zamierzano - podobno - wznieść jakieś współczesne centrum handlowe Włodawy...

Jako działacz PTTK interesuję się zabytkami, m. in. właśnie włodawskimi, i w związku z tym śpieszę poinformować, że „Czworobokowi” nie nie grozi, że „Ziemia zachowana”. W tej chwili w Politechnice Warszawskiej wykonywana jest dokumentacja techniczna, która będzie punktem wyjścia do prac budowlano-konserwatorskich na tym obszarze.

Apoloniusz Kędzierkiewicz  
Warszawa

### „MARGINALKI ZNAD SEKWANY”

W numerze 25 (667) „Kamieny” ukazał się pierwszy odcinek „Marginalki z nad Sekwany”. Choć nie byłem w Paryżu, pragnę zwrócić uwagę na rażące błędy w pisowni francuskiej tego artykułu. Już w tytule opuszczone jest „accent grave” w słowie „premières”. Ale zdanie na samym początku: „C'est n'est pas une reve, c'est réalité” jest POTWOREM! Powinno być: „Ce n'est pas un rêve, c'est la réalité”.

Stanisław Dobrzycki  
Lublin

Od redakcji: Widać, że słusznie pojechał Błażej do Paryża, by się nieco podkształcić w języku. Mamy nadzieję, że pod koniec pobytu francuszczyzna jego będzie bardziej poprawna. Przy okazji informujemy Pana uprzejmie, że polski wyraz „znad” pisze się tak, jak napisaliśmy przed chwilą.

Cheesz terminowo  
otrzymywać  
„KAMENY”  
zamów prenumeratę

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Beechey-Rudnicka, Tadeusz Gwardak (z-ca red. naczelnej) Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) - członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Maciej Podgórski, Redaktor techniczny - Irena Komosa, korektor - Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele - w terminach:

- do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny.

- do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej - 78.-

Jednostki gospodarki uspołecznionej instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorki indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej) przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄZKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki, piątki w godz. 14-16.

Wydawn. RSW „Prasa Książka Ruch” Lubelskie w dawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 3188.

Numer łamiał Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kuredy.

Nr indeksu 30283

Adres redakcji 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, z-ca red. nac. 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwrócić prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecenie i ekspresowe - pod adresem redakcji.



Rys. Jerzy Lipiec

Najserdeczniejsze życzenia  
noworoczne  
składa Wam  
Dziadek



Linoryt: Andrzej Kot

### FRASZKI

Fryderyk Podolecki

#### BILANS

I po stronie — „ma”, i — „winien”  
Same długi mam jedynie.

#### DEDUKCJA

Każdy kowalem — ponoć — swego losu!..  
(Mądrości przysłów negować nie sposób);  
Mamy więc — faktów nie da się obalić —  
35 — aż! — milionów kowali!..

#### DO LUDWIKA

Upadł męski majestat!.. Upadł,  
Drogi Ludwiku!.. Nie nie wskrzesi trupa.  
Ty nie upadaj — mimo to — na duchu,  
Czuj się jak w zbroi... w fartuchu!

Jerzy Leszczyński

#### CZYSTY CIURA

Ciura się nie spłami  
walką z wiatrakami.

#### DRANSTWO

Nie można nawet dotknąć drania,  
bo zaraz wyższym się zasłania.

#### BOJAŻLIWI

Bojaźliwi są za...  
czym tylko kryć się da.

Lech Marek Jakób

### EPITAFIUM

Zył; umarł; nie pozostawił po sobie niczego,  
o czym możemy zapomnieć.

Robert Karpacz

### SKRUCHA

W kościele krzyżem leży jakiś człowiek.  
— Kto to jest? — pytają szeptem

zainteresowani.  
— Pracownik naszej firmy — ktoś odpowiada.  
— A co mu się takiego przytrafiło? — indagują.  
— Podobno diabeł go dziś skusił do roboty...

### AKTUALIA

Telegram: „Proszę mnie natychmiast zwolnić z obowiązku bywania w Klubie „Nora”. Kazimierz Grześkowiak.

Wiano: dopiero po ślubie okazało się, że jego ożenek nastąpił z idealnie czystej miłości.

Mark Twain: „Nigdy nie odkładaj na jutro tego, co możesz równie dobrze odłożyć na pojutrze”.

Nim zaczniesz się kochać nieprzyjaciół, trzeba najpierw trochę lepiej obchodzić się z przyjaciółmi.

Hamilton Jordan: „Zawsze chciałem zobaczyć piramidy” — rzekł — zaglądając za dekolt żonie egipskiego ambasadora.

Przełożył: Ryszard Dunin

Janusz Gaudyn

### AFORYZMY

Zakalec też miał nadzieję być dobrym chlebem.

Myślnik w zdaniu nie jest dowodem tego, że autor rzeczywiście myślał.

Przyjaciele przychodzą i odchodzą z naszymi sukcesami.

Mądry szczyti się bohaterstwem w walce. Mądrzejszy walką przeciwko nadmiernemu bohaterstwu.

Asceta i samolub nie potrzebują wrogów. Unicestwiają się sami.

O wieczności najchętniej mówią ci, którzy niewiele mogą powiedzieć o dniu dzisiejszym.

O martwych zwykliśmy mówić dobrze. Ostatnie słowo i tak należy do nas.

Eligiusz Ristau

### Złota blask

Wprost oślepią złota blask!  
„Złota kaczką”, „Złoty kask”,  
„Złoty krawiec”, „Złota maska”,  
Cała Polska w złota blaskach!

Do wybrańców się uśmiecha,  
„Złoty kłosa” i „Złota wiecha”,  
„Złote ucho” się dostanie  
Za śpiew i muzykowanie!

„Złoty klucz”, „Złota płyta”,  
„Złoty liść” i „Złote grono”,  
Czemu tyle kruszczy — pytam,  
Na drobiazgi roztrawiono?!

Czy za dużo złota mamy,  
Ze tak hojnie nim szastamy?  
Wszak nie pomni słowo Habdanka,  
Przyczyniamy się do manka.



Rys. Waldemar Ruś

**Od następnego numeru  
odcinki książek ze strychu!**